

Nina Ostrowska

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Zaczęłam się rodzić 3 września 1921 w pociągu pod Białymstokiem, skończyłam w szpitalu w Białymstoku. Moja matka wracała właśnie z pogrzebu swojego ojca, który mieszkał na terenach, które po 1918 r. przypadły Związkowi Radzieckiemu. Matka była Polką, ale wtedy mieszkała we Francji. Była kosmetyczką. Ukończyła w Paryżu Instytut

Po wyjściu za mąż, nie pracowała.

Ojciec był Francuzem polskiego pochodzenia. Jego dziadkowie, jeszcze przed I wojną światową wyemigrowali z Polski. Ojciec, urodzony już i wychowany we Francji nie mówił po polsku, czuł się całkowicie Francuzem.

Małżeństwo trwało dwa lata. Po rozwodzie matka wróciła do Polski i w ogóle przez jakiś czas się mną nie interesowała. Ja zostałam z ojcem w między Paryżem a Było to miasto mniej więcej takie jak Poznań.

Przez następne dwa lata wychowywała mnie młoda dziewczyna - pomoc domowa, Francuzka. Ojciec tak się przejął wyjazdem matki, że zniknął na te dwa lata. Dopiero, gdy wrócił, moja sytuacja się nieco unormowała. Rodzice nawiązali z sobą kontakt i ustalili, że mieszkać będą we Francji z ojcem, a wszystkie duże wakacje spędzać będą z matką w Polsce. Powiedzieli mi też wtedy, że gdy skończę szkołę powszechną, do mnie będzie należała decyzja, z kim chcę zostać - z ojcem czy z matką. A decyzja ta oznaczała wybór między Polską a Francją.

Do wojny chodziłam do tzw. szkoły ekskluzywnej, do klasztoru na jako eksternistka. Na wakacje jeździłam do Polski. Kursowałam na trasie Paryż - Warszawa jak przesyłka - z tyłu i z przodu miałam przywieszoną kartkę z adresem.

Matka, Stefania Kasperska po rozwodzie wyszła za mąż za dy-

plomowanego oficera po Wyższej Szkole Oficerskiej, Włodzimierza Kasperskiego. Pracował w sztabie w Warszawie. Do 1939 roku awansował do stopnia majora /dyplomowanego/. Pisywał do wojskowego pisma Beladona.

Ubóstwiałam męża mojej matki. Zawsze uważał, że powinnam być jego prawdziwą córką i że powinnam mieszkać w Polsce. Doskonale się rozumieliśmy.

Nie znałam języka polskiego. Uczyłam się go tylko, gdy przebywałam z matką i jej mężem. Matka, choć znała francuski perfect, zawsze się do mnie zwracała po polsku - czy rozumiałam, czy nie. Natomiast Włodek nie tylko uczył mnie polskiego, ale i Polski. Bardzo dużo mi o Polsce opowiadał. I pokochałam tę swoją drugą ojczyznę. I zawsze marzyłam, by mieszkać tu, nie tam.

Polska dla mnie była prawie święta. Sto lat niewoli - Francja nie przechodziła takich tragedii. Włodek był Piłsudczykiem, więc otaczał mnie kult Piłsudskiego. Piłsudski bardzo mi się podobał, a gdy ^{go}poznałam... Może miałam wtedy sześć lat, pamiętam starszego pana z wąsami, który mnie pogłaskał po głowie. Jakim cudem się tam znalazłam? Mama opowiadała: - "Włodek zawsze chciał, żebyś miała wszystko i wszystko widziała, szczególnie jeżeli chodzi o Polskę. A uważał, że Piłsudski to Polska. Więc to załatwił".

Uczył mnie historii Polski. Wszystko dokładnie tłumaczył, obrazował rycinami - miał piękne albumy. Kochał ojczyznę, bardzo kochał. Do domu stale przychodzili młodzi porucznicy. Robił im najrozmaitsze wykłady, wymagał, był bardzo wymagający. Stale wpajał polskość. Do mnie mówił: - "Francja, ta twoja druga ojczyzna, taka bogata, taka zasobna, a tu biedna, widzisz, płacząca" Aj jak mi się to podobało. Nie mogłam się doczekać momentu, kiedy będę mogła zdecydować i zostać w Polsce.

W 1939 r. wyjątkowo miałam wrócić od matki 31 sierpnia. Już nie wróciłam. Cieszyłam się jak szalona, że nie muszę wracać. Los sam rozstrzygnął.

Matka mieszkała wtedy w Rzeszowie, bo tam był pułk jej męża - 22 pułk ułanów. 1 września Włodek poszedł na front, od razu w randze pułkownika. Postanowił też, że my mamy jechać do matki brata Kanafojskiego, który mieszkał w Dublanach koło Lwowa. Wuj był profesorem na Politechnice Lwowskiej i prowadził Akademię Rolniczą w Dublanach. Wyjechałyśmy 2 września, w dniu imiennin mojej matki, Stefanii. Jechałyśmy wśród ognia i strzałów.

Do Dublan przyjechałyśmy 3 września. Było tam pełno uchodźców. Akademia Rolnicza nie funkcjonowała. Przerobiono ją na szpital polowy. Gdy tam dotarłyśmy, personelu szpitala już nie było. Wszyscy zwiali. Został jeden tylko doktor - Feliks Grochowalski. Był ^{przekładając} na dzisiejszy język - lekarzem zakładowym. Mieszkał w Dublanach. Zaangażowano w takiej sytuacji do obsługi szpitala kobiety i dzieci. Dzieci wykonywały funkcje pomocnicze - zwijanie bandaży, prace porządkowe itp. Wyposażenie szpitala było świetne.

Przyjeżdżało bardzo dużo rannych. Na podwodach. Matka mówiła, że było ich minimum stu. Wśród nich znaleźli się też Niemcy - prosto z pola bitwy. Ratowano wszystkich, Niemiec, nie Niemiec. Ja, ponieważ już jako tako mówiłam po niemiecku, też się zajmowałam Niemcami. Dwóm czy trzem musiałam pincetą z ran wydłubywać robaki.

Doktor Grochowalski dwoił się i troił, żeby wszystkim pomóc, ale ciężko mu było bardzo. Stale napływali chorzy. Trochę chorych wzięto do szpitali lwowskich, ale i tak u nas było ich tyle, że leżeli też na dworze. Nie było miejsca. Jedyna jeszcze nie wykorzystana olbrzymia hala zabezpieczona była maszynami rolniczymi,

których nie było gdzie usunąć. Zresztą i tak łózek nie starczało.

Dla mnie najstraszniejsze było, że nie mieliśmy środków znieczulających. Wszystkim operowanym, amputowanym podawano wódkę. Dopiero gdy ktoś dał znać o rozbitym dyżym transporcie pod Lwowem ze środkami medycznymi, przywieziono ete^{ry} Chłopi dublańscy, Ukraińcy, dali podwoły, udało się umknąć przed Niemcami i przywieźć coś do szpitala.

Szpital się rozwiązał krótko przed wkroczeniem żołnierzy radzieckich. W tych dwóch, trzech dniach takiego pustostanu, kiedy nie wiadomo było, co się dzieje. Ludzie byli zupełnie zdezorientowani.

Najpierw przyjechali oficerowie radzieccy i zaraz za nimi oficerowie niemieccy. To był dla nas pierwszy zwiastun umów między Niemcami i Rosjanami. Kazali nam wszystkim z terenu szpitala, teraz już znowu Akademii Rolniczej, stanąć w szeregu. Był tłumacz. Oficer niemiecki powiedział, że świetną opieką otoczeni byli tu ranni niemieccy żołnierze, że oni sobie to zapamiętają i że polscy ranni będą tak samo traktowani. I bardzo serdecznie wszystkim podziękował. Po czym zabrali swoich rannych i razem z oficerami radzieckimi wyjechali.

Ledwo zniknęli, pojawił się kurz, usłyszeliśmy wrzask, zobaczyliśmy małe koniki i wjechała horda tatarska. Karabiny na sznurkach, płaszcze na dole postrzępione, okropne czapy z wielką gwiazdą, przeważnie brudną. Usmarkane to, brudne...! Tak potwornie brudne, że ochyda brała. Wszystkie dzieciaki, młodzież biegła za nimi, bo czegoś podobnego w życiu nie widzieli. Nie słyszeli nawet. Podobno mieli to być żołnierze. Okazało się, że armia radziecka tak wygląda. Potem dopiero wjechał ciężki sprzęt, kawałki armat. Wszystko było potrzaskane, szmelc.

Wojsk radzieckich nikt nie witał. Wszyscy raczej w domu sie-

dzieli i patrzyli przez okna. Nie wiedzieli w ogóle, co to wchodzi. Myśleli: - "Czy to Niemcy wpuścili jakichś takich?". Irzewanie byli to ludzie o mongolskich rysach, ci z pierwszej linii, Dziobate twarze, po ospach. Okropni ludzie. Nie wiadomo czy ludzie - dzicz. Wszyscy mówili: - "Biegnie, leci na nas dzicz, uważajmy." Wszyscy się bali. Bali się wyjść z domu. Wuj przyszedł i powiedział: - "Nie wiem dlaczego, ale władza radziecka ogarnia nas wszystkich. Ruski nas zalewają." I wtedy się rozplakał. Potem przyszli profesorowie i naradzali się w wuja gabinecie.

Wujostwo mieszkali w wolno stojącym domku, w kolonii profesorskiej. Rosjanie wtargnęli do tego domku i do innych też. Wszystkich od razu pod ścianą, pod groźbą karabinu. - "Gdzie są Niemcy!?" Ale Niemców nie było. Uparli się jednak. Przeszukali cały dom. Dwóch stało trzymając nas pod pistoletem i karabinem, takim ze sznurkiem właśnie. Tzw. oficerowie, którzy też okrutnie wyglądali, biegali ze złością i szukali. Dziwnie ten ich sojusz wyglądał. Wuj bardzo wydziwiał. Do mojej mamy i swojej żony mówił, że pierwszy raz widzi, by tak latać. Jakby jakiegoś wroga szukali. Oczywiście nikogo nie znaleźli. Wtedy oznajmili, że rekwirują jeden pokój dla swojego majora. - "Major tu będzie mieszkał." Proszę bardzo, przecież nikt się nie będzie szarpał. A kim wuj jest itp. nie pytali.

I major zamieszkał. Chciało się płakać. Ten major pod mundurem miał tylko kołnierzyk. Ani podkoszulka, ani koszuli, nic. Goły. Wszedł do łazienki, nie wiedział, co robić z kranami. Wuj mu pokazał. Na drugi dzień /pamiętam jak dzisiaj, bo o mało co w łeb nie dostałam/ padło na mnie podejrzenie, że wzięłam wujowi do zabawy z lalkami jakąś dobrą pastę do zębów - wtedy rarytas. Wuj jeszcze nie skończył mnie besztuć, gdy pojawił się pan

major z dziwnym zapachem na chlebie, jeżeli ten czarny kawałek można nazwać chlebem. Myślał, że to pasta do jedzenia. I zjadł z wielkim apetytem. Stale też przychodził o coś pytać. Wuj kończył w Petersburgu politechnikę i bardzo dobrze znał rosyjski. Majorowi bardzo to odpowiadało. Na tematy polityczne przy mnie nie rozmawiali - może gdzieś w cztery oczy.

Zaraz za wojskiem weszli cywile. Byli zadowoleni, że są w innym kraju. Dla nich było to coś nowego, zupełnie inna kultura, inna cywilizacja, inne kobiety, inni mężczyźni - mimo, że wszyscy byliśmy bardzo ubogo ubrani; gdy ktoś założył kapelusz albo wyglądał porządnie - "Pamieszczik!" i dawaj na sybir. Koniec. I tak całe rodziny.

Po miesiącu pobytu majora przyjechała do nas jego żona z Moskwy. Pani przyjechała zimą w letnim płaszczyku, w butach na wysokich obcasach i w czerwonym berecie. W czymś zawsze musiał być czerwony kolor - albo szalik, albo chusteczka, ale tak, żeby wszyscy widzieli, że to "czerwona armia". Pani zachwycała się nocnymi koszulami mojej matki, a ponieważ mama była chętna na pieniądze, bo ich nie było, sprzedała jej dwie. Tamta paradowała w nich do teatru - uważała, że jest to toaleta wyjściowa. Czerwony berecik na głowie, nocna koszulka i proszę uprzejmie, do teatru lwowskiego. Teatr już działał. Obsadzony przez aktorów radzieckich.

Zaczęłyśmy mieć kłopoty. Dowiedzieli się, że mama jest żoną przedwojennego oficera. A więc "pamieszczik". Ktoś przysłał siedmioletnie dziecko z ostrzegającą nas kartką, radzącą byśmy się natychmiast schowały. Schowałyśmy się w dużej stodole folwarku należącego do Akademii Rolniczej. Ukrywałyśmy się przez tydzień. Przynoszono nam jedzenie. Wychodzić nam nie było wolno. Działo się to jeszcze we wrześniu. Mogłyśmy stamtąd wyjść dopiero, gdy mój wuj poszedł do tzw. naczalstwa, /starostwa/ i powiedział, że

u niego jest siostra - uciekinier z centralnej Polski; Niemcy zamordowali jej męża i przyjechała z dzieckiem ze strachu przed Niemcami. Ale też, że przyjechała również po to, żeby pracować. /Mama znała też język rosyjski/. Wobec tego zaangażowali mamę jako maszynistkę w biurze Akademii Rolniczej.

Moja mama wszystkich urzędników miała u swoich stóp. Uczyła ich języka polskiego. Uczyła ich też, co to jest ojczyzna, jak u nich jest źle, a jak u nas dobrze było przed wojną. Oni słuchali zapatrzeni. Potem mama prosiła ich do domu na kawę... zbożową, ale kawę. To byli urzędnicy średniego szczebla. Nie bali się. Powiedziała, jak się trzyma łyżeczkę, jak się bierze cukier. Uczyła ich tzw. savoir-vivre. I miała bardzo dobrze, bo nikt się mamy nie czepiał. Bardzo chętnie uczyli się polskiego. Sam maród nie jest zły. Oni przecież też mieli niesamowitą biedę. Ale bali się mówić o tym. My wyczuwaliśmy, że chcą, żeby jeszcze opowiadać, żeby jeszcze, a czy to naprawdę było. Wtedy mama pokazywała bluzkę, czy spódnicę a potem chowała z powrotem do szafy, bo nie ubierała tego. Zachwycali się, że ludzie mogą żyć inaczej.

Cywilni Rosjanie, którzy przybyli z Rosji i obsadzali różne stanowiska, byli w porządku. Trzymali nas na dystans, ale wyczuwało się, że Polacy im imponują. Byli bez przerwy przestraszeni, w rozterce - tu im to mówią, a Polacy co innego. Jak przychodzili do mamy, odnosiło się wrażenie, że mama była nad nimi. Mimo że służbowo - pod nimi. Od czasu do czasu sami pytali, czy mogą przyjść. Czasem przynosili ze sobą Herbatę, podłą, ale przynosili. I żeby sacharyny za dużo nie brać, też przynosili, w woredzkach. Mnie też dawali. - "Dla rebionk^Yniech też będzie herbata" - to rebionka siedziała i słuchała, co pletli. Wszystko, co mama mówiła, przyjmowali z niedowierzaniem. Mówili, że to

fantazja, po prostu niemożliwe i starali się wyeksponować, co najlepsze u nich. U nich jest taki Stalin, którego u nas nie ma. Zawsze Stalin był na pierwszym miejscu. Że to ojciec, że krzywdy nie da zrobić. Że u nich takie piękne zboże, że tak ładnie śpiewają. Gdy mama na przykład mówiła, że u nas przed wojną był biały chleb, oni - a u nas jest chleb ciemny, bo zdrowszy. Ale jednocześnie chcieli, żeby to mówić. Bali się powiedzieć, że chcą, jeden drugiego się bał. Nie wypytywali więc, nie przytakiwali.

Administrację obsadzali Rosjanie i Ukraińcy. Wśród miejscowych pierwszeństwo mieli Ukraińcy. Rosjanie jako przybysze byli nad Ukraińcami. Na przykład sklep - spółdzielnia. Sprzedawcą był Ukrainiec, kierownikiem Ukraińiec, a nad nimi był kierownik naczelstwa - Rosjanin. W sklepie mówiło się po ukraińsku; właściciel sklepu nic "nie rozumiał" po polsku. Polacy mogli pracować, ale na tych niższych szczeblach.

Językiem oficjalnym w administracji był rosyjski lub ukraiński. To było obojętne. Na przykład moja matka posługiwała się w pracy tylko rosyjskim, bo pracowała z samymi Rosjanami.

Na moście w Przemyślu, na początku października stali Niemcy i Polacy, którzy chcieli się dostać do Generalnej Guberni /niemieckiej strefy okupacyjnej/. Mogli się tam dostać, jeżeli udokumentowali, że mieszkali przed wojną na tych terenach. Działy się makabryczne sceny. Stali po nocach, żeby dostać się do biura przepustek i szli jak stali, bez żadnego dobytku. Nie wolno było nic brać. Mama mówiła tylko, że jakieś pieniądze można. Moja matka stała parę razy w nocy we lwowskim biurze przepustek, ale się nie dostała. Wielu ludziom się udało, wrócili do Polski centralnej.

Akademię Rolniczą otwarto około 20 września. wszyscy muszą się przecież uczyć - to najważniejsze. I nie ma żadnych profe-

sorów, tylko nauczyciele. I ci nauczyciele będą prowadzić Akademię Rolniczą. Wujowi powiedzieli, że ponieważ za wszystko odpowiada Vi za maszyny, i za to, co się w Akademii będzie działo /był przed wojną profesorem/. -"Proszą zawołać swoich ludzi. Młodzież zaraz tutaj będzie". Młodzież rekrutowała się przeważnie z Ukraińców. Inne szkoły też ruszyły. Sowieci na punkcie nauki mieli kompletnego fioła. Najchętniej w każdym domu zorganizowałyby coś, co uczyłoby na ich modłę.

Administracja w Akademii była szalenie rozdmuchana w porównaniu do ciała profesorskiego. Nauczycielami byli Polacy, nad nimi był Ukraińiec, a nad Ukraińcami Rusek. Język obowiązywał polski i ukraiński. Jeżeli nauczyciel nie umiał po ukraińsku, mówił po polsku. Oni się przecież wszyscy znali jeszcze ~~4~~ przed wojny. Ukraińcy zachowywali się względnie; nie można powiedzieć, by byli agresywni. Donieśli, kto kim jest i siedzieli cicho, zadowoleni, że mogą swoją młodzież posyłać na naukę.

Szkoły przyklasztorne we Lwowie zostały zlikwidowane. Mowy też nie było, żeby zakonnice chodziły w swoich strojach. Musiały chodzić po cywilnemu. Jak by ją kto w takim stroju zobaczył, od razu na sybir. Księża tak samo. W Dublanach były trzy zakonnice, i jeden ksiądz. Ludzie dawali im rzeczy, żeby mieli się w co ubrać.

Chodziłam do szkoły Dwernickiego we Lwowie - jednej z nowszych szkół lwowskich. Było to przedwojenne IX gimnazjum męskie. Mieściło się przy Parku Stryjeńskim. Rosjanie zrobili z tej szkoły koedukacyjną dziesięciolatkę. Była to jedyna we Lwowie szkoła z językiem wykładowym polskim. Tak przynajmniej ją nazywano. Piękna szkoła. Ale wszystko było wyniesione. Rosjanie urządzili ją po swojemu. Wchodząc do dużego holu, natykało się na olbrzymi posąg Stalina. To był pierwszy akcent. A potem wszędzie czerwono tak, że się słabo robiło. Nauczycieli Polaków w tej szkole

nie było - wszyscy Rosjanie i Ukraińcy. W młodszych klasach uczyli przeważnie Ukraińcy, w starszych przeważnie Rosjanie. To była parodia, bo niby językiem wykładowym był polski, a Rosjanie uczyli po rosyjsku i Ukraińcy, którzy znali język polski, również. Młodzież między sobą mówiła po polsku, ale do profesorów trzeba było się zwracać po rosyjsku.

Klas było dziesięć w różnych poziomach. Przeważnie chłopcy. Dziewcząt było mało. Wynikało to chyba z tego, że przedwojenni uczniowie, czyli chłopcy, automatycznie w większości przechodzili do tej nowej szkoły. Resztę miejsc uzupełniano nie patrząc już na płeć. W naszej klasie na 25 uczniów były dwie dziewczyny - ja i Żydówka w moim wieku. Tylko my dwie byłyśmy takie niedopasowane. Reszta to byli lwowiacy. W wyższych klasach były też po dwie, trzy dziewczyny.

Znalazłam się w dziewiątej klasie, czyli w klasie przedmaturalnej. Gdy mnie przyjmowano nie brano pod uwagę mojego wieku, tylko znajomość przedmiotów. Odbyło się coś w rodzaju egzaminu. Po prostu rozmowa. Rozmawiali ze mną Polacy, ale kto to był, nie wiem. Rosjanie też byli przy tej rozmowie. Przepytawali trochę z matematyki, trochę z przyrody, z geografii. O historię nikt nie pytał. Pytali jakie znam książki. Wujek mnie nauczył, że nie wolno tego czy tamtego mówić, bo nie wypada. Ale i tak były znaczące spojrzenia jak mówiłam o Hugo, Montpassant. Uśmiechki - skąd? kazali mi przyjść na drugi dzień. Opowiedziałam wszystko mamie. Mama się skonsultowała i całą noc się uczyłam, że był Kołczanowski, Żeromski itu. Kazała mi mówić, że tego właśnie uczyłam się w szkole. Na drugi dzień jeszcze raz zapytali mnie, co czytałam. Szybko więc powiedziałam, że tamte książki kradłam rodzicom z biblioteki, jak nie widzieli, a uczyłam się o Żeromskim... Wyszczególniłam wszystko, co zapamiętałam. Mama podała

mi lektury obowiązujące w klasie przermaturalnej i to zdecydowało, że mnie do tej klasy zaklasyfikowano. Fakt że się wychowywałam we Francji jakoś nie wyszedł na jaw.

Uczyliśmy się przyrody, biologii, geografii. Wszystkie przedmioty ściśle były na bardzo wysokim poziomie. Ale np. geografia - bardzo śmieszna: tylko Związku Radzieckiego. W ogóle innych krajów nie było. Pokazywali nam mapy tylko ZSRR. Granica na nich była taka, jak wyznaczona przez pakt niemiecko-rosyjski. Uważaliśmy, oczywiście naśmiewając się, że Związek Radziecki to cały świat. I właśnie jeden z uczniów wstał i to głośno powiedział w sposób ironiczny. A profesor uznał, że tamten zupełnie szczerze mówi i postawił mu piątkę. Ten profesor był Rosjaninem i wyjątkowo parszywy^{an}/człowiekiem.

Nikt nam nie bronił mówić między sobą, po cichu po polsku, ale mieliśmy takiego nauczyciela od fizyki, bardzo małego o przezwisku półmeter. Gdy wchodził do klasy na tablicy było napisane $1/2$ m. - "Co to jest." - "Widocznie poprzednia klasa miała jakieś zajęcia i zostawiła. No nie zmazali, nie zmazali." I przynajmniej dwie minuty cała klasa - "jaka szkoda, no nie zmazali, jaka szkoda." Ten się wściekał.

Klasy były amfiteatralne. Ci, którzy siedzieli najwyżej, mieli najlepiej. Stamtąd wszystko leciało, a na dole wszyscy zachowywali się porządnie. No i szept szedł po klasie: - "Bij półmetra, bij półmetra! wal półmetra!!". On nie rozumiał, o czym my mówimy. - "Dlaczego po polsku?" - "Hm, czy ktoś mówił panie profesorze po polsku? Gdzie jest ten, co mówił po polsku? Ludzie gdzie jest?" I znowu czas płynął na szukaniu tego, co po polsku mówił. Ten stał zielony. Ale co miał robić. Wrzeszczał, że wszystkim dwóje da. - "Ale panie profesorze, my wszystko umiemy, wszystko umiemy." I znowu, że my wszystko umiemy, proszę pytać.

Obądu dostawał.

Raz na tydzień mieliśmy język polski. Uczył nas Ukrainiec, który potwornie kaleczył język polski. Zamiast litera na przykład mówił bukwa. Nie było żadnych lektur, żadnych książek. Do dnia dzisiejszego właściwie nie wiem, czego nas uczył. Coś nam dyktował, jakieś bzdury z książki lub gazety, coś zupełnie nie znaczącego. Kazał nam to po polsku czytać. Było to coś w rodzaju dyktanda, ale nigdy nie sprawdzał błędów ortograficznych, gramatycznych itp., Żadnych dyskusji też nie było. Nazywało się jednak, że jest język polski. Mówiło się, że to jedyna szkoła z językiem polskim. A na dobrą sprawę ten nauczyciel albo w ogóle dobrze polskiego nie znał, albo tak udawał.

Mieliśmy jeszcze przedmiot nazywający się lektura rosyjska. Uczył go Rosjanin, pan w moim pojęciu starszy, przypuszczam, że wtedy 40-letni, do którego wszyscy od razu poczuli sympatię. Mówił pięknym prawdziwym językiem rosyjskim. Uczył nas poezji i literatury rosyjskiej - a nie radzieckiej. Nauczył nas wielu pięknych rzeczy. To on właśnie zaszczepiał w nas patriotyzm, miłość do ojczyzny - której nie konkretyzował. To był jedyny wśród uczących mnie nauczycieli w tej szkole prawdziwy nauczyciel.

Okrutny był Ukrainiec, uczący nas historii. Uczył nas, że nie ma żadnego Boga, że to wszystko są bzdury; właśnie on uczył materializmu. Namawiał do zapisywania się do pionierów. Chciał nam wyprać mózg, ale się nie udało. Nikt z naszej klasy się do pionierów nie zapisał, zresztą z innych klas też nie. Próbowano oprócz namów wyrzec na nas również przymus - obniżano stopnie z zachowania. Nie przysługiwały wtedy stypendia, wycieczki itp. I wychodziło mniej więcej na to, że nasza szkoła wszystkiego była pozbawiona. Ale wcale się tym nie martwiliśmy. Wręcz odwrotnie, Uważaliśmy to za zaszczyt. Żadnej organizacji nie udało im się

na terenie naszej szkoły założyć.

Byliśmy stłamszeni nauką. Było jej bardzo dużo, a gdy ktoś nie umiał, trzeba było zostać po lekcjach i nauczyciel tak długo tłukł w głowę, aż coś włożył. Bo jak nie włożył, to nie uczeń był winien, tylko profesor. więc profesor się bał. Mówili do nas: -"Muszę cię nauczyć, żeby się utrzymać na tej posadzie. A jest mi tu bardzo dobrze. Będiesz tak długo się uczył, aż się nauczysz."

W naszej klasie była jedna Żydówka, reszta Polacy. W dziesiątej klasie Żydów nie było w ogóle. W niższych klasach było ich więcej. Ale trzymali się sami, bo Polacy ich wyrugowali ze swego grona - nie wiadomo było, czy rodzice tych dzieci nie są na usługach NKWD. A przeważnie właśnie Żydzi współpracowali z NKWD; trochę Ukraińcy, ale nie w tej ilości co Żydzi.

Rosjanie mieli inny kalendarz niż my, a nauka w szkole odbywała się według ich kalendarza. Dni wolne wypadały w różne dni tygodnia, przez co niekiedy w niedzielę odbywały się lekcje i musieliśmy iść do szkoły. A dla większości z nas niedziela była dniem świętym - pochodziliśmy z rodzin katolickich. Przed jedną taką niedzielą umówiliśmy się, że nie przyjdziemy do szkoły i będziemy się modlić w domu - tak to określaliśmy. Mnie nikt z domu do szkoły nie wyganiał, bo widzieli, że cała młodzież zostaje. więc w porządku. wobec całej szkoły nie mogą przecież wyciągnąć żadnych konsekwencji. Tak wszyscy myśleli. Tymczasem moja koleżanka z ławki, Rita, Żydówka, jako jedna jedyna przyszła do szkoły. I wtedy okazało się, że jej rodzina współpracuje z NKWD.

Oczywiście dostała mnóstwo nagród - i pieniężne i książkowe. Za pilność. A nam obniżyli wszystkie stopnie i zapisali niesprawiedliwiony dzień. Proszono rodziców, którzy mieli nam ten dzień usprawiedliwiać. Moja mama wyszła z tamąd z płaczem, ale

na szczęście żadnych innych przykrych konsekwencji w mojej rodzinie nie było. Natomiast ojciec kolegi z mojej klasy, Jurka Wyrzykowskiego, postawił się. Powiedział dyrektorowi, że jego dziecko w niedzielę do szkoły nie będzie chodzić. Gdy wyszli z gabinetu, powtórzył to przy Ricie na wyraźne jej indagacje. Na drugi dzień chłopiec do szkoły już nie przyszedł. Dowiedzieliśmy się, że całą rodzinę wywiezli na Sybir. Wiedzieliśmy, że nie dyrektor doniósł - może był świnią, ale nie taką. Doniosła Rita. Sama to przyznała: - "Widzicie, zawsze się ze mnie śmiaлиście, że jestem Żydówką, a zrobiłam tak, że wszyscy wyjechali na Sybir. I uważajcie."

Maturę zrobiłam z wielką biedą. Z płaczem. Chodziłam do tzw. klasy humanistycznej. W związku z tym na maturze obowiązywała mnie matematyka, lektura rosyjska, lektura radziecka i historia. Prosto z Moskwy przyjechał kurator. Wyglądał jak śmierć. Miał przerażające oczy, przeszywał ucznia na wylot. W komisji był jeszcze dyrektor i profesor danego przedmiotu. Siedziało się podobnie jak teraz w odległości mniej więcej czterech metrów i po trzech uczniów w rzędzie. Między tymi rzędami chodził profesor, który uczył danego przedmiotu.

Z historii zapytano mnie, czy jest Bóg. Powiedziałam, że jest. A co ja nazywam Bogiem. Powietrze, trawę, wszystko, co mnie otacza. I dostałam trójkę. Robiłam to złośliwie. Powiedzieliśmy sobie w klasie - "Na durnowate pytania będziemy durnowato odpowiadać i tak ich zrobimy w konia". Jeden kolega też powiedział, że jest Bóg. Koń. Jak? Koń? Tak, koń. Bo koń jest dobrym stworzeniem, praktycznym, potrzebnym i zaczął o koniu całą poezję. Bardzo naiwni byli. Odwrotnie niż Niemcy. Z Niemcami tak by się nie dało.

Aresztowali wszystkich podejrzanych o cokolwiek. Nie było żadnych sądów. Ludzie donosili. Na przykład kierownik sklepu

spółdzielczego w Dublanach. Swinia pierwszej kategorii, Ukrainiec. Stale brakowało chleba. W ogóle z żywnością było bardzo kruczo. W samym Lwowie może trochę lepiej, ale już poza Lwowem - koniec. Cukier można było dostać na tzw. czarnej giełdzie. Oczywiście ceny były odpowiednie. A w tej właśnie spółdzielni na terenie Dublan były tak zwane przydziały chleba. I jak w kolejce ktoś zaszumiał, zniecierpliwiony powiedział: - "Kiedy do jasnej cholery będzie ten chleb, bo mnie tu za chwilę diabli wezmą", już kierownik leciał, że brzydkie słowa przeciwko władzy radzieckiej. Nie było usprawiedliwienia - że w nerwach, że o władzy nie było mowy. Od razu przychodzili, zabierali, ślad wszelki ginął po człowieku.

Przychodziło NKWD. Byli w mundurach i mieli niebieskie otoki na okrągłych czapkach. Ich płaszcze wyjątkowo były podszyte, nie postrzępione na dole. Chodzili też w czarnych płaszczach jak gdyby z ceraty, guziki błyszczące i ohydne czapki.

Transporty Polaków na wschód stale trwały. Dzieci oddzielali od rodziców, miały osobny wagon. Straszne mrozy panowały we Lwowie, do 40^o, śnieżyce nie z tej ziemi a te biedne dzieci stały na bocznicach kolejowych w wagonach zabitych deskami. Nie mogły stamtąd wyjść. Starsi robili akcję pomocy przede wszystkim dla dzieci. Chcieli je wykradać. Ale nie dawało rady. Kordon żołnierzy radzieckich stał i pilnował. Moja mama wpadła na pomysł. Dorośli przynieśli owinięty w chustę chleb, zawieźli nas do Lwowa. Powiedzieli: - "Proszę dotrzeć do dzieci i dać im chleb". Chyba do końca życia będę słyszała ten krzyk - "Pić, jeść, pić!" To dzieci tak wołały. Pobiegłam w stronę wagonu, ale nie dobiegłam. Żołnierz radziecki tak mnie trzasnął w twarz, że się wywróciłam do góry nogami i chleb poszedł w lewo a ja w prawo. I wszyscyśmy uciekli. Nie było już żartów. Oni od razu chwyтали karabiny i

do strzelania. Takie było moje pierwsze bezpośrednie spotkanie z żołnierzami radzieckimi.

Lwów wyglądał ohydnie. Szara publiczność, ludzie przygnębieni, zmartwieni, wszyscy ubrani jak ostatni łachmaniarze, żeby tylko nie podpaść. O kapeluszu czy przyzwoitrym ubraniu mowy nie było. Chyba, że ktoś chciał stracić, dosłownie, życie, być wywiezionym i nie być pewnym, czy kiedykolwiek wróci.

Kościół od razu pozamykano. Nikomu nie było wolno wchodzić. A Ruscy z daleka pilnowali, żeby jakich włamań nie było. Księża przebrali się w cywilne ubrania, zakonnice zdjęły habity. Inaczej wszyscy byliby wywiezieni jak jeden mąż. Modliliśmy się w domach. Na lekcje religii chodziliśmy do zakonnice. Chodziliśmy po dwie trzy osoby, młodzież czy dzieci, niby odwiedzić samotne panie, coś pomóc w domu. Bardzo głośno mówiło się, że są starsze osoby, którymi się trzeba zająć, że od tego są dzieci i młodzież. I one nas uczyły religii.

Ja chodziłam do dwóch zakonnice. Były ubrane normalnie, po cywilnemu. W pokoju było normalnie, jak wszędzie, bardzo skromnie. Uczyły nas z pamięci, żadnych zeszytów, żadnych książek. Pytały o modlitwy, kto co umie i uczyły nas innych modlitw, uczyły zasad wiary. Dwadzieścia minut, dłużej nie. Żadnych wpadek nie było przez cały okres okupacji radzieckiej. Zaczęliśmy na religię chodzić po Bożym Narodzeniu 1939 roku. Zaprowadziła mnie tam mama, tyle wiem. Mama mówiła, dzisiaj pójdziesz do pań, zobaczysz, co u nich słyszeć i ja wiedziałam, że idę na religię. Moje koleżanki też chodziły. Dużo chodziło. We Lwowie też to było zorganizowane.

Na ulicach stale odbywały się pochody z czerwonymi flagami i napisy rosyjskie - "Niech żyje Stalin". "Kochamy Stalina." "Nasz Ojciec Stalin". W Dublinach stale wszystko na czerwono

chodziło i przeważnie byli to Ukraińcy. Z czerwonymi opaskami, czerwone kokardy i transparenty nosili. Chodzili w kółko Akademii Rolniczej jak nieprzytomni.

Na temat wyborów w domu nic nie mówiono. Mama, wujostwo na żadne wybory nie szli. Wszyscy siedzieli w domu, wuj nie pozwolił nikomu wychodzić, bo nie wiadomo co to z tego będzie. W Akademii Rolniczej był punkt wyborczy. Mamie kazali coś pisać, ale mama szybko dała zwolnienie lekarskie.

Kina były świetne, nie do podrobienia. Przyjeżdżało kino objazdowe, stary rupieć z kominem z tyłu, dymiło jak diabli, wtedy panowie Ukraińcy rozpościerali prześcieradło na jakimś domu, jak największe, wszystkich zganiai i wyświetlali film dla mas pracujących. Masy pracujące stały na wolnym powietrzu. Te filmy to była parodia. Chodziliśmy, żeby ryczeć ze śmiechu - można było kawały robić i nikt nic nie mówił. Wszyscy bali się, wszyscy stali i oglądali. Co chwilę zrywało się, były pasy. A treść! Albo miłość świniarki do świni, albo traktorzysty do traktora. A jakie traktory, jakie zboża, coś fenomenalnego. Wszyscy w chustach. Kołchozy nam pokazywali, sowchozy, wszystko pokazywali z wyjątkiem Syberii. Wywózek nie pokazywali, rozstrze-liwań. Bat'ko Stalin był w otoczeniu małych dzieci, wszystkie dzieci całował, z kieszeni cukierki wyciągał, częstował. Dzieci biły brawo, wszyscy byli zachwyceni, jaki dobry nasz bat'ko Stalin. Wszystko po rosyjsku, ale tylko napisy, bo filmy były bez dźwięku. Natomiast dźwięk dochodził z tłumy. O jakie to! O jakie tamto! Takie rozmaite okrzyki, a to wszyscy się śmiali z tego przecież. Filmy były bajeczne.

A jakie akademie były! Cukierki dawali! Tak! Akademie pierwszomajow~~o~~ Czerwono było w Dublanach aż błyskało. W auli Akademii rolniczej, bardzo ładnej, poustawiane krzeselka. I nie każdy

mógł wejść. Pierwszeństwo miała młodzież, dzieci, a jak to wszystko elegancko pousiadało - wtedy dorośli. Ale tylko delegaci, z poszczególnych biur. Nie tak że o, wszyscy mogą. Nie. Nie wolno. Nie nada. Byli wybrani. Tacy, którzy zasłużyli, przyczynili się, dobrze pracowali, swoją normę zrobili - w nagrodę, proszę bardzo, na trzygodzinną akademię. Rosyjscy urzędaszy wygłaszali referaty. Swoje przemówienia wygłaszali sekretarze partii, sekretarze rejkomu, strasznie długie i oczywiście po rosyjsku. Potem występy, chór, który śpiewał pieśni rewolucyjne, deklamacje wierszy rewolucyjnych. O Stalinie dużo się mówiło, o jego dobroci, czego on nie zrobił, co jeszcze zamierza zrobić. Potem o Moskwie. Tłumaczyli nam, co to Moskwa, jakie to wielkie miasto, prawie cały świat to Moskwa. Leningrad, bardzo ważny. Jakie tam życie wspaniałe. Dokumentacja też była - od czasu do czasu rzucał jakimś podarty obraz. Widzieliśmy pełno klaszczących robotników Stalinowi, który gdzieś tam się ukazał, widzieliśmy radzieckie fabryki, całe wnętrza pokazowe - bez tajemnicy. Potem, na zakończenie, Rosjanie, ci wyróżnieni pracownicy rosyjscy, chodzili po auli z dużymi koszykami pełnymi cukierków dla dzieci i młodzieży. Dorosłym nie dawano, nie potrzebują, wystarczy, że mogli być na akademii. Cukierki były tak ochydne, że nie dało się jeść. Ale...dostawaliśmy.

O Stalinie mówili stale. Wiecznie Stalin i Stalin. Nikt tego w ogóle nie słuchał, no poza zasłużonymi. My szturchaliśmy się tylko w bok: jak gada! A jak wygląda! I wszystko odznaczone! Dygnitarze siedzieli za stołem - nawet ze Lwowa, z Moskwy przyjechali. Wszyscy odznaczeni, pełno medali na klapach. Dźwięczało to, błyszczowało, z daleka byrdzo fajny widok. Pamiętam, że jeden taki rudy przemawiał, miał przedziałek na boku, cały przylizany, biała koszula i...krawat. Czerwony. Na akademii wszy-

szy byli w krawatach czerwonych i w białych koszulach. Mama mówiła że mieli mankiety na sznurkach.

Wuj chodził gdzieś słuchać radia, przypuszczam, że na strychu, zawsze na górę i o jednej porze. Potem przychodził albo bardziej zmartwiony, albo bardziej zadowolony - wtedy, że tak źle nie jest, że na pewno będzie dobrze. I tak wszyscy się podtrzymywali.

Gdy Rosjanie zaczęli ustępować ze Lwowa, w Dublanach było niewesoło i wuj obawiał się, że Ukraińcy mogą ruszyć na Polaków. Postanowił wyjechać z nami wszystkimi do Lwowa, do rodziców mojej ciotki. W mieszkaniu było piekielnie ciasno, ale bezpiecznie, bo duże miasto.

We Lwowie Rosjanie wycofując się wrzucali do piwnic granaty. Wiedzieli, że ludność cywilna właśnie w piwnicach się pochowała. My też byliśmy w piwnicy i jakimś szczęśliwym trafem nas ominęto. W poprzednim domu i następnym były wybuchy. Pozostawiły niesamowitą ilość trupów. Nasz dom został jak na wyspie. Wrzucano po dwa, trzy granaty.

Niemcy wjechali na motocyklach. Polacy znowu szeroko otwierali oczy - co to takiego. Byli czyści, eleganccy. Od razu był porządek. Zafascynowana byłem czystością mundurów, elegancją, zachowaniem się. Eleganckie motory, wyczyszczone. Żołnierze szli swobodnie, oficerowie w pięknych limuzynach. Coś tak diametralnie różnego od poprzedniej armii, że rozdziawiało gębę. I tu Hitler zrobił błąd. Widziałam jak Polacy witali Niemców kwiatami. Stałam, gębę rozdziawiałam i patrzyłam, jak rzucali Niemcom kwiaty. Niemcy byli super uprzejmi dla Polaków przez kilka dni.

Nie zapomnę też jak Niemcy dwie, czy trzy godziny po wejściu wystawili olbrzymie kotły z porządną zupą z mięsem. Kto chciał, mógł podejść i jeść. Ludzie o mało się nie pozabijali. Taki

był głód za Rosjan, Jedliśmy ziemniaki nie obierając w ogóle skórki. Dla dzieci były po cztery, dla dorosłych po jednym. Gdy ciotka miała trochę kaszy, ugotowała z wodą, tak że więcej było wody, gdzieśgdzie tylko pływała kasza. Dzieci jadły, a dorośli stali i patrzyli. Więc gdy pojawiły się te kotły na ulicy... To też Niemcy fotografowali - jak Polacy rzucali się na to jedzenie. A my byliśmy po prostu głodni. Tyle, że Niemcy trzymali porządek. Każdy w kolejności, wszędzie były drogowaskazy, gdzie można jeść, gdzie te kotły.

Kilka dni był spokój. Żadnych represji. Represje zaczęły się gdzieś po tygodniu i gdyby Hitler wykorzystał ten moment...

Lwów się momentalnie zmienił. Panie wyondulowane, wymalowane, w kapeluszach, wszystko elegancko ubrane, jakaś taka nadzieja... To przykre co mówię, ale dla nas, tak starsi mówili, gorszym wrogiem był Związek Radziecki niż Niemcy. Tak ludzie myśleli. I dlatego witali Niemców kwiatami. Wszystkim się wydawało, że wyzwolenie jakieś przyszło. Wszystko wolno było robić, nikt się niczego nie bał. Niemcy wykorzystywali, tylko Hitler był głupi - była to jedyna okazja, żeby poderwać ludzi i wszyscy na Związek Radziecki. Gdyby nie było represji niemieckich, Polacy by na pewno poszli. Na pewno. Z chęci zemsty. Za swoich najbliższych, znajomych, krewnych. Chęć zemsty była tak okrutna, że nikt nie widział czapek z trupimi czaszkami, że nikt nie widział panów w kapeluszach, latających w ciemnych płaszczach. Każdy widział tylko, że jest najedzony i że nie musi bać się wywózek. Że może nareszcie spokojnie spać w swoim domu. Może ubrać, co chce.

Jest też faktem, że rynsztokiem Lwowa płynęła krew. Dosłownie. Polacy rabali Żydów za wywiezione rodziny, za masakry. A Niemcy tylko z boku stali i filmowali. Widziałam, jak młoda niewiasta w żałobie trzymała za brodę Żyda i waliła jego głową o

bruk. We Lwowie! Krew tylko tryskała na prawo, na lewo. Krzy-
czała: - "Dobrze ci tak!".

Przed wejściem Niemców były masowe aresztowania. Okazało się,
że w więzieniu Łyczakowskim Rosjanie /NKWD/ zamurowali żywcem
ludzi. Nam, młodzieży, już po wejściu Niemców, kazano iść do wię-
zienia i ich odmurowywać. Dostaliśmy narzędzia - dłuta, młoty.
Wyburzaliśmy ściany grubości jednej cegły. Wyglądało to tak:
każda cela była podzielona ściankami w ten sposób, że powstały
takie jakby kominy. Jeżeli w celi znajdowało się sześć osób,
to było sześć kominów, w każdym zamurowany człowiek. Drzwi cel
były wywalone. Kiedy Rosjanie mieli czas to zrobić?... Gdy od-
burzaliśmy ścianki, leciały na nas trupy. Mówiono, że byli to
więźniowie polityczni. Mieli zakneblowane i zalepione plastra-
mi usta. Smród okrutny. Zdarzyło się, że w jednej takiej "celi"
był żywy człowiek. Odratowano go. Nie wiem, co się z nim potem
stało.

W więzieniu znaleziono około dwustu zamurowanych osób. Moi
koledzy, ja i jeszcze jedna dziewczyna odmurowaliśmy dwie cele
- dwaście osób. Cały dzień kopaliśmy. A ryczeliśmy... Mie-
liśmy pokrwawione ręce, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Płaka-
liśmy tylko. Dorośli mówili: - "Nie beczeć, tylko odkopywać".
Trudno. Patrzcie i przekazujcie potem swoim dzieciom, wnukom,
nie zapominajcie tego widoku." Tak nam dorośli mówili. Musie-
liśmy im dokładnie opowiadać, co widzieliśmy, żebyśmy nigdy nie
zapomnieli. I dlatego wszystkim, kogo tylko spotykałam zawsze
to opowiadałam.

Krótko po wejściu Niemców wróciliśmy do Dublan. Za czasów
radzieckich wuj miał broń. Za niemieckich schował ją jak i
inne cenniejsze przedmioty - mikroskop, książki. Wszystko to za-
kopali z mamą w ogrodzie.

Niemcy w Dublanach zajęli od razu folwark i zakład rolniczy - Akademia Rolnicza przekształciła się w zakład rolniczy. - Zatrudnili Polaków. Odbywały się tam też tzw. kursy rolnicze. Było to coś w rodzaju dzisiejszych szkół zawodowych. Wuj i jego asystenci prowadzili te kursy. Kursanci w rzeczywistości byli studentami. Wuj z asystentami, kiedy nikogo nie było gromadzili wokół siebie małe grupki i prowadzili normalne wykłady studiów politechnicznych.

Oczywiście politechnika została zamknięta, tak że wuj nie jeździł tam na wykłady. A myślał biedak, że będzie normalnie, jak przed wojną... Moja matka i wuj obawiali się, że Niemcy mogą mnie wywieźć, bo zaczęli już coś napomykać, że wszyscy powinni pracować. Wuj załatwił mi pracę gońca. Była to bardzo fajna fucha - miałam dostęp do pieczęci niemieckich z wroną. Później się to przydało.

Któregoś dnia przyszedł do mnie młody człowiek i mówi, że bardzo mu się podobam, że chciałby się ze mną spotkać, że ma czekoladę i chciałby się ze mną podzielić, zafrapowało mnie to i umówiłam się z nim. Myślałam sobie, taki stary. To był student drugiego albo trzeciego roku. Ale mi to imponowało. Miałam przecież piętnaście lat. Umówiłam się z nim w czasie przerwy w pracy. Umówiłam się z nim w ogródku. Siedział na ławce. Mówił, że mam być z nim szczerą. Ja oczywiście wyśpiewałam, że jestem gońcem, że piszę już na maszynie. - "A czy wiesz co to jest harcerstwo polskie?". - "Tak uczyłam się tego". - "Aa, uczyłaś się, a byłaś w harcerstwie?" - "Nie." - "A chciałabyś być?"

- Oj tak, bardzo." - "To dobrze, to ja się tobie przypatrzę, czy mi się naprawdę podobasz." Za parę dni przyszedł do kancelarii, akurat nie było volksdoiczki, mojej szefowej, wiedźnie się szlajała z Niemcami, i mówi, że chciałby zobaczyć, jak ja piszę

na maszynie. Więc mu pokazałam. A czy umiem pisać zezwolenia na wyjazd do Lwowa na przykład z kapustą, Napisałam. - "A kto to podpisuje" - "Dyrektor." - "Ciekawe, czy by takie coś podpisał". - "Jak to nie" - wołam wielce uniesiona, ja goniec włożyłam papier w teczkę w której miałam jeszcze inne zezwolenia i dyrektor podpisał. Oczywiście nie czytał. U volksdojczki była okrągła pieczęć. Zaraz wzięłam i przywaliła. Za kilka dni znowu ze mną się umówił. Zapytałam o imię, powiedział Wojtek. Był to oczywiście pseudonim. To był oficer. Dopiero później się dowiedziałam. Zapytał, czy jestem wierząca. - "Tak"- mówię - "Wobec tego umówimy się w jednym domu we Lwowie, ale w piwnicy. Zobaczysz coś bardzo ciekawego. Zobaczysz harcerzy." - "Ja harcerzy?!" Takich sprzed wojny?!" - "Tak. Takich sprzed wojny." I sobie myślę, co mama powie, co wuj powie, jak ja wyjdę? A moja matka popatrzyła na mnie i powiedziała: -"Wiem wszystko, idź." Więcej mamy nie pytałam, zawsze miałam przed mamą ogromny respekt i wiedziałam, że nie wolno mi o nic pytać. Na wuja spojrziałam, a wuj dyplomatycznie: - "Jak matka ci pozwala, to ja też." Pojechałam więc do Lwowa, autobusem, i poszłam do tej piwnicy. Trochę się bałam. W piwnicy był ksiądz i jeszcze trzech chłopców. Były świece, były zaciemnione okna, coś na kształt oktarzyka - był tam krzyż. Ci chłopcy rzeczywiście byli harcerzami sprzed wojny, to znaczy zuchami. Teraz mieli dostać miano harcerzy. Ksiądz nam tłumaczył, że to jest Polska, jak należy walczyć z wrogiem. Do walki wcale nie trzeba mieć pistoletu, broni. Każdy na swoim miejscu może znaleźć coś, czym będzie mógł się przysłużyć Polsce. Polska to hasło, a za tym hasłem są ludzie. I wytłumaczył nam, że jest tajna organizacja, a my musimy złożyć przysięgę. I żeby nas tłukli, walili, palili, słowa nie możemy powiedzieć. I w bardzo uroczysty sposób, przynajmniej

w moim pojęciu, zostaliśmy zaprzysiężeni. Poczulałam się już całkiem dorosła. To chyba było na przełomie 1941/42. Wtedy ksiądz kazał nam zapomnieć jak się nazywamy i jak mamy na imię i przybrać tzw. pseudo. Mój brzmiał "Sosenka". Oczywiście nie przedstawialiśmy się sobie nawzajem. Ksiądz jeszcze powiedział, że będziemy dostawać odgórnie rozkazy i że musimy ich słuchać, bo inaczej będzie z nami koniec. Po prostu pistolet do czoła i do widzenia. Tak powiedział.

Od tej pory zaczęła się moja praca. Polegała na tym, że wypisywałam fałszywe "besztelungi", a dyrektor, bezwiednie jak sądziłam, je podpisywał. Nie wiedziałam wtedy, że on wiedział, gdzie ja pracuję i co podkładałam. On wszystko wiedział. Doskonale żył z Gestapo, które przepłacał świniami, kapustą i w ogóle żywnością z folwarku. My nie wiedzieliśmy dlaczego takie transporty idą do Gestapo. Wujka wykupił z listy do rozstrzelania, za żywność Gestapo wszystko robiło. Dyrektor wiedział doskonale, że wuj prowadzi wykłady politechniczne, a nie żadne kursy. Ale udawał, że nic nie wie. I tak sobie konspirowaliśmy. Wojtek był dwa razy na Gestapo. Dwa razy go dyrektor wykupił, to już wiem od wujka. Dyrektor w ten sposób walczył z Hitlerem. To był prawdziwy patriotą niemiecki. Potem zginął, został rozstrzelany. Ale to już pod koniec. W każdym razie dopóki on był dyrektorem, nikomu włos z głowy nie spadł.

Jego żona, ponieważ się paskudnie w Dublanach nudziła, stworzyła dla młodzieży szkołę nauki języka niemieckiego, sama nie umiejac po polsku. Tak długo mówiła do nas po niemiecku, aż zrozumieliśmy. Odbywało się to wbiurze. Przychodziła do nas, gdy kończyliśmy pracę. Było nas z pięć osób. Poza tym nauki żadnej nie było.

W niemieckim biurze pracowałam do czasu, gdy przyszedł sztab Mainsztaina. Kończył się front wschodni. Niemcy się wycofywali

i Mainsztain z całym swoim sztabem przyjechał do Dublan. Wtedy Eldorado się skończyło. Nikomu nie wolno było wychodzić poza Dublany. Wszystkich Polaków do baraków. Młodzież osobno, dorośli osobno. Oddzielili mnie od wujostwa, od mamy. Mojej matce jakimś cudem udało się uciec do Lwowa, do trzeciego męża, inżyniera rolnika, który w czasie okupacji radzieckiej ukrywał się jako szewc. Wuj razem z ciotką został przez tajną organizację odtransportowany do Warszawy. Tak, że cały nasz dom się rozbił. W Dublanach zostałam ja sama, za drutami kolczastymi.

Dostałam zatrudnienie w stołówce - sprzątanie, gdzie jadali oficerowie sztabu Mainsztaina. Kilka dni po rozpoczęciu pracy w stołówce zainteresował się mną starszy siwy Niemiec. Pytał co tu robię, gdzie moja matka i ojciec. Powiedziałam mu, że ojca nie mam, tak miałam mówić, a matka we Lwowie. Spojrzał na mnie: - "Wiesz co, przypominasz mi moją sórkę, była w twoim wieku. Obie z żoną zginęły pod bombami. Zostałem sam. Zajmę się tobą. Dostarczę do matki." Myślę sobie - wierzyć, nie wierzyć. Ale był zwykłym oficerem niemieckim, nie miał żadnej trupiej czaszki ani SS, ani nic podobnego. Pomyślałam, może rzeczywiście. Powiedział, żebym wiedzorem wyszła z baraku, żadnych rzeczy, zresztą ja nic nie miałam, tylko to co na sobie. Pomyślałam, zaryzykuję. Wyszłam stał gazik. Kazał mi się położyć na ziemi, przykrył kocem, objął nogami i jechaliśmy do rogatek dublańskich. Miał przepustkę, widzieli też że oficer, puścili go na szosę na Lwów. Podałam adres, podwiózł mnie. - "Teraz uciekaj do matki". Od tej pory już go nie widziałam. Wtedy zaczęły się bombardowania Lwowa. Niemcy zaczęli się wycofywać w głąb polski. Mama, zawsze bardzo obrotna, miała nie wiadomo skąd całą kulkę szynki. Poszła gdzieś z tą kulką i za chwilę przyjechał wóz niemiecki, ciężarówka z meblami jakiegoś generała. Umieścili nas między tymi

meblami i zawieźli pod Rzeszów, do Łańcuta. Pani z poczty ostatecznej piła nam pokój.

Mama bała się zostać we Lwowie. Uważała, że jak znajdzie się w Generalnej Guberni, tam gdzie była przed wojną, może nawiąże kontakt z bratem. Ale nie doszło do tego, mama nie wiedziała, gdzie wuj w ogóle jest. To było tajemnica.

Ja musiałam pracować. Mama znowu poleciała do urzędu chwając, że znam język niemiecki i od razu mnie wzięli do olbrzymiej fabryki części samolotowych pod Rzeszowem. Nazywało się to fabryka, a był to obóz. Byli tam Francuzi, Włosi, Niemcy na indeksie, trochę Żydów, chodzili z opaskami z gwiazdą.

Ja pracowałam przy podziale kartek żywnościowych. Kiedyś dostałam liścik z informacją, że gdy w nocy będzie mnie bolała głowa, mam iść do sanitariatu. Nie wiedziałam, co to znaczy. Przecież urwał mi się wszelki kontakt z podziemiem, gdy Niemcy weszli ze sztabem. Ale poszłam. Tam młodzi ludzie. -"Czy byłaś w konspiracji?" - "Tak." - "Chcesz nadal?" - "Tak." -"Czy zaprzysiężona?" - "Tak." Jakoś się nie bałam powiedzieć prawdy tym ludziom. Dostałam proszek, kazali mi trzymać w ręku i wracać. Dostanę dyspozycje. I dostałam. Moim zadaniem było mieszać przydziały kartkowe.

Znosiłam kartki na oddział, tam wychodził jakiś facet, robił do mnie oko i świetnie współpracowaliśmy. Do czasu, kiedy przyszła lista do wywózki do Niemiec. Góra tajnej organizacji wiedziała, kto jest na liście. Ja byłam na pierwszym miejscu. Wtedy kazali mi pożegnać się z matką i hej, idę w las, piórko mi się migoce. Poszłam z innymi.

Było to tuż przed zakończeniem wojny. W lesie byłam trzy miesiące. Przydzielili mnie do kompanii sanitarnej, w oddziale "Wilka" zawsze szczekaliśmy do siebie, wilkami byliśmy prze-

cież. Gdy chłopcy szli na akcję, u nas było ostre pogotowie. Kiedyś wrócił chłopak z takim złamaniem, że noga mu się chybotwała. Trzeba było zrobić amputację, Nie było leków znieczulających, ale był spirytus - chłopci dostarczali. To był polowy szpital, można więc sobie wyobrazić, jak tam wyglądało. Fantastyczny chirurg, Hipolit /tylko pseudo znam/ kazał trzymać mi lampy naftowe do operacji, elektryczności przecież nie było. Kazał bliżej, za chwilę miał ciąć, Mnie się jakoś byle jak zrobiło, zachwiałam lampami. Jak mnie wystrzelił w papę. Od razu się wyprostowałam i prościutko, bez drgnienia trzymałam lampy, nie płacząc, nic. Stałam cichutko jeszcze raz na mnie spojrzął, jeszcze bardziej się wyprostowałam, skamieniałam. Gdy amputacja się skończyła, chłopcy wynieśli nogę i wyrzucili, chłopaka umieścili w namiocie. Chirurg tak jak był zakrwawiony, podszedł do mnie i zapytał: - "Bolało?" - "Tak". - "To nie szkodzi. Nauczysz się na drugi raz, że lampę trzyma się prosto. Przecież chodzi tu o życie człowieka." wtedy mnie do siebie przytulił, i wtedy się rozryczałam. Więc od Polaka też dostałam Ale on innego wyjścia nie miał. Na łagodność nie było czasu.

Nie było AK, nie było AL. Po prostu walczyliśmy z okupantem. Nie wiedziałam, że jestem w AK. O tym dowiedziałam się dopiero po wojnie. Nie mówiło się AK. Wiedzieliśmy tylko, że są Bataliony Chłopskie. Reszta walczy o Polskę, walczy z okupantem, walczy w podziemiu, tak się mówiło. Ja jestem w organizacji tajnej, o, to ładnie brzmiało. Z partyzantką radziecką nie spotykaliśmy się. Wiedzieliśmy tylko, że gdzieś jest. Baliśmy się po prostu zetknięcia z nimi. Dlaczego, nie wiem, ale wiem, że dowódca bardzo gonił, żeby się nie dowiadywać, nie dopytywać, spokojnie siedzieć. Między sobą w dowództwie mówili, że to nie byłoby zdrowe spotkanie. Te obawy potwierdziło moje pierwsze

spotkanie z "wyzwalającą" nas armią radziecką.

Stałam z chłopakami na skraju lasu. Ktoś nam w oddziale powiedział, że jedzie polska lokomotywa, więc wybiegliśmy zobaczyć. Było to w Dębicy pod Rzeszowem, na boczniczy kolejowej. Zobaczyliśmy, że z jednej strony wyjeżdża lokomotywa radziecka, z drugiej nasza polska. Z orłem. Nasza ciągnęła dwa wagony. W obu byli partyzanci. Obie lokomotywy stanęły przed stacją. Z radzieckiej wyszło ich wojsko, byli ubrani w radzieckie mundury, i zaczęli strzelać do naszych polskich partyzantów. Tak od razu. Karabiny maszynowe i siekli, dosłownie siekli. Nasi nie zdążyli się nawet spostrzec, so się dzieje. Nikt nie uszedł z życiem, trzydzieści osób trupem. Naliczyliśmy potem trzydzieści trupów i nikogo żywego. Masakra.

Stanęliśmy jak wryci. Nie wiedzieliśmy co robić. Nie miałam przy sobie żadnej broni, koledzy też nie mieli. Staliśmy z gołymi rękami. Rosjanie nas nie widzieli. Gdyby zauważyli, nas też by wytłukli. Na pewno. Mieliśmy tylko odruch z lasu - schować się za drzewo. Od lasu do torów było jakieś pięćdziesiąt metrów. Jeszcze nasyp i już tory szły. Zaraz obok stacja Dębica, mała stacyjka.

A Rosjanie wsiedli do swojego pociągu i pojechali dalej. Działo się to wszystko w oka mgnieniu. Ja wiem, czy wszystko piętnaście minut trwało? Jak odjechali, wyszliśmy z za drzew. Popatrzyliśmy w lewo, w prawo i mówię: -"Idziemy". Wylecieli kolejarze. To było coś okropnego. Nikt już nie żył. Trzydziestu w pień wybitych młodych ludzi. Za co nie wiadomo.

Wtedy wyzwolony już był Lublin i Rzeszów, a Kraków jeszcze nie. I przecież orzeł był, a więc znak, że to polska lokomotywa.

Z bekim, wrzaskiem włéciałam do oddziału, rzuciłam się na

dowódcę, zaczęłam ryczeć. Dowódca mówi: - "Jezus, Maria! ty jesteś cała okrwawiona." Był przekonany, że jestem ranna. A gdy zobaczył, że chłopcy tak samo wyglądają, myślał, że coś się z nami stało. Dostałam krople, przecież nie mogłam mówić, tak ryczałam, To cud, że nie zwariowaliśmy wtedy. Gadaliśmy bezładnie, dowódca nic z nas nie mógł wydobyć, dopiero jak huknął na nas: - "Cholera jasna wyciągnę pistolet i będę strzelał", uspokoił się, Dowódca wszystko zapisał. Potem poszedł na jakąś naradę i po powrocie powiadomił: - "Nie wiadomo dlaczego. Ale potwierdzenie jest, że to była partyzantka polska, z lasów radomskich, a w radzieckim pociągu byli na pewno żołnierze radzieccy, którzy nas wyzwolili".

Wyzwolili ze wszystkiego. Ze złudzeń,

Z przysięgi nikt mnie nie zwolnił do dnia dzisiejszego. A z oddziału wyszłam tak. Zwołali nas i powiedzieli: - "Nadal pracujemy. Wojska frontowe to nie wojsko polskie. To przebierańcy.. To polsku mówią i niby w polskich mundurach. Niby - bo nasze polskie mundury mają orzełka z koroną. Coś się tu zaczyna - co, jeszcze nie wiemy. Idźcie do swoich rodzin, ale nikt was nie zwalnia z przysięgi. Przyjdą rozkazy. Do każdego dotrzemy na pewno. Obojętnie gdzie byście byli w Polsce. Pamiętajcie, że walczyliście z okupantem. I niech wam to przyświeca. Nie dajcie się omamić". I wtedy kazano nam iść do domu. Ale nie znaczyło to że oddział był rozwiązany. Tylko mieliśmy nadal czekać na rozkazy.

Wróciłam do Rzeszowa. Byłam całutka zawszawiona. Wiedziałam, gdzie matka mieszka, wiedziałam, że jest wszystko w porządku, że nic jej nie grozi. Mamy mąż też był na miejscu. Pierwszy raz w życiu w publicznym miejscu - w ogrodzie - stanęłam nago, żeby wszystkie rzeczy spalić. Mama rzuciła mi tylko zapalniczki i mówi

pal. Włosy miałam od razu ścięte, bo aż się roiło. I taka naga wleciałam na klatkę schodową i prosto do wanny.

Musiałam jakoś dojść do siebie. Patrzyłam na to polskie wojsko i myślałam: - "Mają rację". Przecież to nie są nasi. To nie jest prawdziwe wojsko polskie. W Rzeszowie nikt entuzjastycznie ich nie witał. Ludzie byli zupełnie obojętni. I wtedy przypomniałam sobie, jak witano wojsko niemieckie. a teraz... Każdy wzruszał ramionami i czekał, co będzie dalej. Jakiś rząd powstał w Lublinie. Jakaś strzelanina w Lublinie. Ludzie się zabijają. Jakaś partyzantka polska jest, z lasów wychodzi, tłucze w nocy, w dzień też się biją. Człowiek bał się wieczorem wyjść na ulicę, żeby Rusek któryś nie zgwałcił, albo nie rozwalił. Nie mogłam pojąć, co to wszystko znaczy.

Powstał Urząd Wojewódzki. Jako wojewoda przyszedł Tkaczow. Dziwne nazwisko, ale mówił po polsku. Nie wiem, czy był to Rusek czy Ukraińiec, ale dosyć przyzwmicie się zachowywał. Moja mama poszła do pracy. Mnie do pracy też poszła. Nauki żadnej nie było. Z własnym krzesłem z domu zjawiłam się w Urzędzie Wojewódzkim, bo nie było tam żadnego umeblowania. Pracowałam jako sekretarka wojewody. Nikt więcej tam nie pracował. A! Żołnierz był, który i pilnował wojewody i mnie przy okazji. Może cztery dni siedziałam na tym krześle, bez biurka i nic nie robiłam. Patrzyłam tylko co wojewoda robi. Miał pełno akt, papierów. Potem przyszedł radca prawny i tak zaczął zawiązywać się Urząd Wojewódzki. Naprzeciwko był sztab wojskowy. Dosyć przyjemny kapitan stamtąd, od zaopatrzenia wysyłał nam chleb. W mieście chleba nie było, panował głód. Ale była nadzieja. Wśród młodych ludzi była nadzieja, że coś zaczyna się wykluwać, że może będzie z tego coś dobrego. I tak żyliśmy tą myślą.

Zacząły się aresztowania. Pojawiła się odezwa, że wszyscy

AK-owcy mają się ujawniać. Wtedy właśnie dowiedziałam się, że byłam w AK i że jestem prześladowana, a chłopak, który ze mną w lesie w krzakach siedział był w AL i nie jest prześladowany. A byliśmy w tym samym oddziale. Spotkaliśmy się przypadkowo na ulicy. Dziwnie na mnie popatrzył. - "Co, nie poznajesz mnie?" - mówię. Pokazał mi w gazecie, że on był w AL. - "A co to jest AL?" - "To ty nie wiesz? Armia Ludowa." - "A ja?" - "A ty... AK. Armia Krajowa! Ci najgorsi, tu najgorsi, tu najlepsi, co to takiego!?"

Tymczasem wieczorową porą przyszedł po mnie pan. Faceta nie znam, ale hasło z oddziału powiedział. I mówi! - "Ja tutaj coś przywiozłem". Sześć pistoletów wywalił. Myślałam, że padnę.

- "Masz to ukryć". Hmm. Poszłam na strych, jakieś belki. Miejszkaliśmy w wolnostojącej willi w ogrodzie. Mieliśmy mieszkanie na pierwszym piętrze, a na dole mieszkał właściciel, przedwojenny sędzia z żoną i z dzieckiem. Wlazłam na strych. Między strychem a naszym piętrem był zamknięty na klucz pokój. Ten facet, podając mi broń, ukrywałam ją między belkami, zapytał o ten pokój. - "Kto tam mieszka". Nikt nie mieszkał. - "Jest pusty, zamknięty na klucz." - "Dobrze wiedzieć.

Otworzyli tam melinę, punkt konspiracyjny. Zawiązało się koło, z ludzi zaprzysiężonych, w którym zaczęliśmy działać przeciwko nie Polsce jako takiej, a przeciw Związkowi Radzieckiemu. Bo - Syberia, bo - rozstrzelanie, bo - zabrane Wilno, bo - zabrane Lwów. Zналиśmy się trójkami. U mnie było wyjątkowo, bo czasem było dziesięć osób na nocleg.

Pokój u mnie był tak usytuowany, że w zasadzie nikt o nim nie wiedział, był niewidoczny. Nasz sąsiad, właściciel domu był śmierdzącym tchórzem, więc powiedziałam mu, że mam narzeczonego, który nie ma się gdzie podziać i poprosiłam żeby pożyczył ten

pokój na dwa, trzy tygodnie. Zgodził się. Nie wiedząc o tym, co tam w nocy się działo. Przepisywałam tam przepisy z książki podchorążych. To szło dalej. Chodziło o ćwiczenia młodych ludzi, żeby w razie czego wiedzieli, jak się trzyma broń, co z tą bronią należy robić. Były takie grupy ćwiczone. Poza tym utrzymywaliśmy stały kontakt z Anglią - kolega, ja - z Francją. Kontakt tzw. skrzynkowy z tymi, którzy byli za granicą i jeszcze nie wrócili do kraju. Z ojcem też już wtedy nawiązałam kontakt. Nie znaliśmy nazwisk, nie wolno było. Tylko na skrzynkę - numer 25 taka a taka wiadomość, Francja, to Nina. Albo "Piotr" z Anglią.

Ja obsługiwałam skrzynkę kontaktową na Francję. Skrzynka to było hasło. Jeżeli miałam hasło napisane na kartce w biurze, w domu, obojętnie gdzie, to musiałam czekać na łącznika. Przez niego przekazywałam informacje. Ciekawe zdjęcia. Przekazywałam informacje dotyczące wojsk radzieckich. Sama je zbierałam. W Rzeszowie było bardzo dużo wojsk radzieckich. Chodziło na przykład o numery ciężarówek, jak przesuwały się wojska, w którym kierunku - wojna jeszcze trwała, Kraków jeszcze nie był wolny - jak oni przyjeżdżali, jak wyglądali, czy byli przyzwyczajeni ubrani, różnice między mundurami z roku 1939 a obecnie, to co się widzi. Nie wiedziałam dokąd idą te informacje. Po prostu szły. Ale wszystko wyłącznie dotyczące rosyjskiego wojska. Polskie wojsko nas nie interesowało, sprawy polityczne Polski też nas nie interesowały. Chodziło o utworzenie tzw. zabezpieczenia granicy wschodniej Polski, przed zrusyfikowaniem narodu polskiego. Przecież Rosjanie ciągle jeszcze wywozili. Przyjaciele a wywozili.

Ja nie dostawałam żadnych odpowiedzi.

Pewnego razu chłopcy przywieźli nieduży kuferek. Były tam bar-

dno ciekawe akta. Akta zebrane z więzień takich jak Jarosław, Leżańsk, Rzeszów, tam gdzie byli więźniowie polityczni. Było to archiwum grypsów z tych więzień, grypsów AK-owców już z czasów polskich. Oni mniej więcej dawali znać, co się dzieje w więzieniu, czy wyposzczają, jak wypuszczają, co podawać w paczkach. To były ważne informacje, stażnicy więzienni nie informowali, co podawać w paczkach. Pisali, że męczą bardzo, ale będziemy się trzymać. Grypsy były bardzo krótkie, szczegółowych opisów nie było. Bardzo trudno je było napisać i podać. AK-owcy stosowali metody z czasów okupacji niemieckiej, ale to nie zdawało egzaminu, bo służba więzienna dobrze znała te sposoby.

Kuferek zawędrował na strych. To niby było najpewniejsze.

W pracy nikt nic nie mówił, było nas za mało, ale czułam, że jestem obserwowana.

I znowu wieczorem przyszedł pan. Tym razem ten, który pracował w fabryce samolotów jako jeden z brygadzistów, którym podawałam kartki. Czy go sobie przypominam, powiedziała tak. - "Zostałem teraz naczelnikiem Urzędu Bezpieczeństwa na województwo rzeszowskie". Oczywiście wiedziałam, co to jest UB. - "Przyszedłem cię uprzedzić, bo bardzo nam pomagałaś i nie pytałaś, kim jesteśmy. A my byliśmy komunistami. Ty nam pomagałaś, więc Cię uprzedzam. Daj sobie z tym wszystkim spokój. A przynajmniej trzy dni nie nocuj w domu. Jest na was obława, na AK".

Mieliśmy pod rzeszowskim więzieniem dyżury. Dostarczaliśmy paczki, Trzeba było wstać o 4 rano, stanąć z paczką w kolejce, kolejki były straszne. Wolno było podać tylko chleb, cukier i słoninę. I nie w papierze, tylko w szmatce. Zawinięte, nie zapakowane. Takie były przepisy. Potem dowiedzieliśmy się, że co niektórych będą wypuszczać. Tak mówili. Musieliśmy więc mieć dyżury, żeby zaopiekować się wypuszczonymi. Była to zorganiz-

wana akcja. Dyżurowaliśmy po dwie osoby. Więzienie było dobrze dla nas usytuowane, bo naprzeciwko parku. Znowu mieliśmy możliwość kryć się za drzewami.

Obserwowaliśmy. Gdy otwierała się więzienna brama, zaczynaliśmy spacer - czy z papierosem, czy śpiewając la la la. W ten sposób dawaliśmy sygnał wypuszczonemu czy wyrzuconemu, że mógł śmiało podejść jeśli miał jeszcze siły i otrzymać opiekę. W "moim" pokoju wracający z więzienia mieli dach nad głową, dopóki się gdzieś nie usadowili.

Zdarzało się nierzadko, że zwolnionych wyrzucano przez płot. Służba więzienna po prostu wyrzucała przez płot tych więźniów politycznych, którzy już nie byli w stanie czegokolwiek powiedzieć, z odbitymi nerkami, płucami, albo roztrzaskana głową. Płot nie był bardzo wysoki, na szczęście.

Widziałam takich trzech. Jeden miał odbite nerki. Złapałam go, to znaczy on osunął się jakoś po płocie, tak że mogłam go wziąć pod rękę i zadać sobie na lecy, tak jak się zadaje worek. Był wyższy ode mnie, więc nogami szorował po ziemi. Na rogu zawsze stała dorożka PCK /którą miał w Rzeszowie szpital/. Miała pod więzieniem dyżury. Dorożkaż był nasz. W dorożkę i na Jagiellońską, tak się nazywała ta ulica, gdzie mieszkałam. I do "naszego" pokoiku.

Albo "Marian" /"Marian" to pseudonim/. Wyłapałam go pod płotem. To był wieczór, ciemno, nie zauważyliśmy w jakim był stanie, przywiozłam go na Jagiellońską, położyłam do łóżka, a tu prześcieradło od razu całe czerwone. Do 22⁰⁰, godziny policyjnej, było jeszcze trochę czasu. Przypomniałam sobie, że do mojej mamy na brydża przychodził lekarz Szewczuk. Codziennie państwo sobie grali w brydża. Wiedziałam, gdzie mieszka i wiedziałam, że ona pewno zdąży. Zostawiłam z rannym kolegą, który

stale nocował w pokoiku. Tylko lekarz mógł cokolwiek pomóc. Po-
leciałam po lekarza. Był Polakiem, Roskoski się nazywał. Przycho-
dzę i mówię, panie doktorze, mam rannego w domu. Niech pan idzie
ze mną, Nie, on nie pójdzie. Niedługo godzina policyjna, to raz.

- "A co ja pomogę? Chcecie się bawić w partyzantkę, proszę
bardzo. Ja nie pójdę". W tym momencie, może pod wpływem nerwów,
przypomniałam sobie, że mam w kieszeni ołówek. - "Nie pójdzie
pan? - stanęłam za nim, przytknęłam mu ołówek - Już pan idzie".
Poszedł po walizeczkę. Ołówek schowałam. W korytarzu znowu mu-
siałam go użyć i wyprowadziłam lekarza na klatkę schodową. Do-
rożka czekała. Przywiozłam go do domu. Gdy zobaczyłam, że krew
kapie, kazałam rannego całkowicie rozebrać. Nie mogę mówić. To
nie było ciało. To była jedna rana. Prawdopodobnie był bity
jakimś pejczem zakończonym skórkami i haczykami. Tak to wyglą-
dało. Był nieprzytomny, słowa nie mógł powiedzieć. Co otworzył
ustato z ust też krew mu szła. Nie mogę mówić, bo jak sobie przy-
pomnę, jak te skurwysyny się zachowywały, szlag mnie na miej-
scu trafia. Lekarz powiedział, że nic tu nie pomoże. Dał mu
tylko znieczulający zastrzyk z morfiny.

Co tu teraz robić, myślę, przecież ten człowiek do rana
umrze. Nie można do tego dopuścić. Przypomniałam sobie o małym
szpitaliku Polskiego Czerwonego Krzyża. Leżeli tam różni ranni
- postrzeleni przez UPA, ci z UPA i nasi. Po rpostu ranni. Le-
karze z tego szpitala współpracowali z nami. Bardzo porządni
lekarze. Dzisiaj na pewno się takich nie znajdzie. Ale ta go-
dzina policyjna, jak się tam dostać. Wykombinowałam tak. Mu-
szę zatelefonować, nie mając w domu telefonu. Obok miało sie-
dzibę UB, również na Jagiellońskiej, w małym budyneczku. Więc
do tego UB. Nie chcieli mnie wpuścić, - "Proszę pana, muszę
natychmiast zadzwonić, koleżanka rodzi." Wpuścili. Dzwonię,

wiedziałam kogo mam prosić - lekarza Ludwika - podałam hasło, odpowiedział, natychmiast do szpitala. Ale jak? Mówię do ubeka: - "Proszę pana, czy wy macie samochód?" - "Tak. Gazik". - "Koleżanka rodzi, czy można przewieźć do szpitala?" - "Hmm, hmm.". - "Ja błagam pana - po prostu się rozryczałam - to moja jedyna, najlepsza przyjaciółka, mąż jest w terenie, wojskowy, a ona rodzi, co ja mam zrobić?" - "To dam pani kierowcę i samochód, ale pani sama zawiezie." wypisał przepustkę dla mnie.

Przyleciałam do domu. "Marianowi" poduszkę, całego okutałam, podłożyłam papiery, żeby krew wsiąkała w papiery. Lekarz mi pomógł. Pomógł mi go znieść do samochodu - starszy pan, więc wszystko się zgadzało. "Marian" postękiwał głowem byle jakim, więc nie podpadało czy to męski, czy żeński głos. Do łazika i pojechaliśmy. Nosze już czekały. Zabrali go, a ze mnie tylko pot leciał ze strachu. Gdy przyleciałam do domu cała zielona byłam. Wiedziałam przecież, jak to się mogło zakończyć. Już nie tyle dla mnie, ale dla całej naszej organizacji.

"Marian" przeżył. Młody silny organizm. Przewieziono go zaraz za granicę jak wyzdrowiał. Przerzucono go na wieś i rodzina, aż na Śląsku, odżywiała nie tylko jego, ale w ogóle tych, którzy z więzień wracali i byli mniej więcej w takim stanie jak on. Powiedziano mi tylko potem: - "Twój "Marian" jest w odpowiednich rękach, bo w twojej ukochanej Francji". Dzisiaj jest w Anglii. Nie miał nic do roboty w Polsce, w tym kraju o który się bił!

Trzeciego już nie dało się ratować. Odchyliłam strzępy marynarki, płuca na wierzchu. Przerzucono przez płot trupa. Już nie żył, "Bogdan" już nie żył. Też partyzant.

To już tyle lat, ale tak zostaje w pamięci. I nie wolno nam zapomnieć. Dlatego zawsze uczyłam swoje dzieci: - "Nie zapo-

mnijcie, kto jest waszym wrogiem. Nie po to siedziałam, żebyście dzisiaj należeli do PZPR czy innych ZMS-ów". Są odpowiednio wychowane.

To takie bolesne. Mówi się dzisiaj o białych plamach. I co? Ja mam pisać o rehabilitację! Dlaczego? Co ja złego zrobiłam? Dawno mówię, napiszę, gdy mi moich chłopców zwrócicie. Po co im rehabilitacja po śmierci? Nawet nie wiadomo gdzie są pochowani. Co tu dużo mówić.

Zginęli w więzieniu "Wacek", "Bogdan", "Jurek". "Marian" żyje. I jeszcze jeden, z lasu wyszedł i został zabity. Kto go zabił, nie wiemy. Był jeszcze "Wojtek II", też jest dzisiaj jak "Marian" w Anglii. Nie było dla nich miejsca tu w Polsce.

Nie obawiałam się, że lekarz zdradzi to miejsce. Wszystko postawiłam na jedną kartę. I nie zdradził, był przerażony. Bał się, że sam poniesie konsekwencje. Nie chciał do nas więcej na brydża przychodzić.

Trudno powiedzieć, jak koło było liczne. Ludzie stale się zmieniali. Nocowali po pięć, sześć osób, spali na podłodze. Rano zwijali maneły i przychodzili inni. W sumie mogło się przewinąć około piętnaście osób. Ja tylko z nimi miałam kontakt tylko w tym pokoju.

"Staszka" Dęba pamiętam, pamiętam "Wilgę", "Manusia", "Jodkę" - to chłopcy - "Zośkę", "Hankę". "Zośka" wymiennie ze mną pisała na maszynie. "Staszka" właściciel domu zameldował w książce meldunkowej, którą miał w domu. Zameldował go oczywiście pod pseudonimem. Był jeszcze "Zygmunt", i "Orzeł". "Orzeł" i "Staszek" byli do końca.

Gdy zaczęłam pisać regulamin dla podchorążych, musiałam powtórzyć przysięgę. Znow przyszedł ksiądz, pytał czy byłam już zaprzysiężona. Opowiedziałam mu, na dowód pokazałam obrazek.

Ksiądz powiedział, że teraz trzeba wszystko odnowić, bo wszystko zaczyna się od nowa, ale w jeszcze ściślejszej konspiracji. Żadne teraz AK, teraz walczymy z komunizmem. Nie wymieniał nazwy organizacji. Wytłumaczył mi tak: - "Dotąd walczyłeś z Hitlerem, teraz walczysz ze Stalinem, czyli z komunizmem. Jesteś na to przygotowana?" - "Tak." - "Chcesz walczyć?" - "Oczywiście". Przysięgałam na krzyż, że zachowam wszelką tajemnicę, a przede wszystkim to, co będę pisała. Przysięgałam tylko na krzyż - "Przysięgam Panu Bogu". Nie było nic o Polsce. Robiłam to wobec trzech świadków - komendanta i "Staszka Dęba" i, przypuszczam, jego zastępcy, który się nigdy nie ujawniał. Pseudonim miał "Smieszny Pies". Trzeci miał pseudonim "Bezpaznokciowy" - faktycznie nie miał paznokci aniu u rąk, ani u nóg. "Dąb" prawdopodobnie jest w Anglii. Księdza nigdy przedtem nie widziałam. I później też nie.

Przysięgałam, że zrobię sokolwiek mi polecą i że pozostanie to dla mnie tajemnicą. Było też zadanie: "Jestem w pełni świadoma, że pracuję dla prawdziwej Polski, wolnej i niepodległej" - to dwa razy musiałam powtórzyć - "wolnej i niepodległej."

W końcu właściciel domu domyślił się, co się dzieje w pokoju, że nie jedna osoba nocuje. I powiedział, że sobie nie życzy, a jak się uprzemy, to pójdzie na UB i zamelduje jak jest. Trzeba więc wszystko zlikwidować. "Staszek" mi powiedział, że wszystkie rzeczy mi zostawia. Było to pod koniec zimy. Powiedział, że po archiwum ktoś przyjdzie. Zostałam z całym majdanem ze strychu - bronią i papierami zapieczętowanymi w skrzynce, Były to dokumenty AK-owskie, ale w środku nie widziałam. Bardzo długo nikt nie przychodził. W końcu przyszła "Hanka". Pomagałam jej to wszystko przenieść do jakiegoś domu na Starołęce - tak się nazywała część Rzeszowa. Tam składałyśmy wszystko w zupeł-

nie pustym pokoju, w niskiej chatce. "Hanka" na pożegnanie podarowała mi obrazek święty. Była to pani w wieku około czterdziestu lat. Na obrazku jest data 11 marzec 1945. Jeszcze przed "Hanką" przyszedł mężczyzna po broń. Wtedy było sześć sztuk broni krótkiej i dwie sztuki długiej, a granatów pięć czy sześć,

Zaczął się wszystko też zimą, ale 1944 roku, jeszcze przed Gwiazdką. Pamiętam, że na Wigilię oni nie mogli zejść na dół do nas, bo moja mama udawała, że nic nie wie. Wiedziała, zginął przecież z domu koc, kołdra, jedzenie ginęło, to wszystko nosiłam na górę. Wigilię spędziliśmy osobno, ale w Święta przepisywałam tę książkę dla podchorożych.

"Staszka" spotkałam potem w Szczecinie, tuż przed moim aresztowaniem, po powrocie z Francji. Poszliśmy do kawiarni, potem zaprosiłam go do domu. Powiedział, że przyjechał do Polski z tajną misją i zaraz wyjeżdża tam, skąd wrócił, tzn. do Anglii. Jaką misją - nie powiedział, cały "Staszek". Już w Rzeszowie często go wypytywałam o różne rzeszy, ale nigdy nie otrzymywałam odpowiedzi. Robił mi tylko wymówki, jak się spóźniałam. Panicznie się go bałam. Teraz w Szczecinie przede wszystkim wypowiedziałam mu swój żal ogromny - że samą mnie zostawił z tym archiwum na ponad miesiąc, że powinien sobie zdawać sprawę, ile miałam lat i z czym zostałam przez tak długi czas. Przyjął to milczeniem, na końcu tylko skwitował: - "ale jednak dałaś sobie radę".

Straciłam kontakt z ludźmi z komórki rzeszowskiej. Dalej pracowałam w Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie. Najmłodszy brat mojej matki mieszkał w Szczecinie i zaproponował mi przyjazd do niego. Przekonywał, że tam jest przyszłość, choć jest ciężko. Ponieważ lubiłam przygody, spodobał mi się pomysł. Pojechałam do Szczecina. Bardzo szybko wyszłam za mąż, pracowałam

w delegaturze Czytelnika, jako sekretarka. Urodziłam dziecko, potem się rozwiodłam. Za panny nazywałam się Jasińska, później Pudelewicz, obecne nazwisko jest po drugim mężu.

Fewnego dnia po rozwodzie, w roku 1949 zauważyłam, że w aptece na Pogodnej, gdzie z reguły zaopatrywałam się w leki, jedna z obsługujących bardzo mi się przygląda. Obserwowała mnie tak jakiś czas i kiedyś powiedziała do mnie: - Tak się pani przyglądam, przyglądam, bo pani tak to "r" mówi. Zna pani może francuski? - "Tak, a o co chodzi?" - "Dostałam list z francji, a ja sama nie umiem po francusku, czy mogłaby pani przetłumaczyć?" Nie uważałam tego za coś nadzwyczajnego i zgodziłam się. Treść była zupełnie normalna, nic nadzwyczajnego. Chciała zapłacić, ale nie wzięłam, za takie głupstwo nie wezmę przecież pieniędzy. Zaprosiła mnie więc na kawkę, na zapleczu apteki. Zaczęła pytać, kogo mam we Francji i skąd tak dobrze znam język. Miałam do niej jakiś zaufanie i powiedziałam normalnie, że mam tam ojca, że chodziłam tam do szkoły. Podałam jej adres, którego też nie uważałam za tajemnicę.

Kiedyś przyszła do mnie z panem, tak pod wieczór. Zapytali mnie, czy zechciałabym współpracować. - "Z kim i dla kogo?" wtedy wymieniła pseudonim mojego dowódcy "Dab" i powiedziała, że jest we Francji. Podała jeszcze parę szczegółów: - "Jagiellońska 18, Rzeszów, na górze, przyszła młoda dziewczyna i odebrała to, co powinna odebrać pod hasłem, wszystko się zgadzało. Ale ja byłam w strachu. Nie wiedziałam, kto to jest i o co chodzi. Wtedy powiedziała: - "Był też u pani ksiądz i ponowił przysięgę. Przysięgała pani, że będzie występować przeciwko komunizmowi. Czy jest pani gotowa? Dla Polski niepodległej, naprawdę niepodległej?" Powiedziałam - "Tak." Pomyślałam: "co mi zależy?" Nareszcie coś się zacznie dziać. Powiedzieli

mi, że ilia rządu londyńskiego jest we Francji. I że są pułkownicy, którzy by bardzo chętnie ze mną rozmawiali. Miał to być pułkownik Sławiński. Nie wiem czy to prawdziwe nazwisko. Powiedzieli mi, żebym pojechała do Francji, ale tak, żeby mój ojciec nie wiedział. Zgodziłam się. Miałam tam być tylko jeden dzień i lecieć samolotem. Fałszywe dokumenty były już gotowe. Najpierw pojechałam pociągiem do Warszawy, z Warszawy samolotem do Wiednia. Potem od razu do Paryża. Samochód z panem pułkownikiem już czekał - starszy pan ubrany po cywilnemu, mocno starszy, zabrał mnie do siebie do mieszkania. Zaczął mnie wypytywać, jak to było we Lwowie. Opowiedziałam mu, to co tutaj. On to wszystko stenografował. Na tym się skończyło. Pytał o Lwów i co wiem o Katyniu. Jakie były nastroje ludności, gdy Niemcy ogłosili, że zrobili to Rosjanie. Czy dużo osób wie, że Katyń to tamtejsze władze. I to było wszystko. Nic mi nie proponował, nic więcej nie mówił. Wieczorem miałam samolot do Polski. Przedstawił się Sławiński.

Potem utrzymywałam kontakt z apteką. Tłumaczyłam listy. Listy nie zawierały jakichś nadzwyczajnych informacji, tylko: co uwas słyhać, czy jesteście zdrowi. Przypuszczam, tak się potem domyślałam, że musiały tam być zaszyfrowane informacje. Wszystkie listy były ze znaczkami, cenzurowane, wtedy wszystkie listy cenzurowano. Raz tylko list nie miał znaczka, widocznie przez kogoś podany.

Do 1956 roku cały czas utrzymywałam kontakt z ojcem. Nie regularny. Pisywałam listy. Nie wszystkie listy dochodziły. Tuż po dojściu Gomułki do władzy, papa zwrócił się do władz francuskich, żeby mi ułatwili przyjazd do Francji, do niego w odwiedziny. Nie widzieliśmy się przecież od 1939 r. Dostałam odpowiednie papiery i miałam je złożyć w Szczecinie w UB. Zło-

żyłam wszystko i czekałam na paszport. Wizę miałam obiecaną na piśmie od władz francuskich. Na podstawie tego dokumentu napisanego w język polskim i francuskim, wydano mi w UB paszport. Na rok. Wieczorem przed wyjazdem przyszła pani z apteki. Jechać miałam przez Gdańsk - tam był konsul francuski - Warszawę do Czechosłowacji, potem do Wiednia, w Wiedniu przesiadka do Szwajcarii, w Szwajcarii przesiadka i do Francji. W Szwajcarii mogłam się zatrzymać 24 godziny, tam w Lozannie mieszkał brat mojej matki.

Pani z apteki pyta: - "Długo będzie pani w Warszawie?" - "jeden dzień. Pożegnani się z wujostwem". Wtedy taki wyjazd był niezwykle rzadki. Każdy mówił: - "Jak jej się udało, na pewno nie wróci." Zapytała którym pociągiem jadę. Jechałam pociągiem katowickim, granicę przekraczałam w Petrowicach. Na to ona do mnie: - "Niech pani dobrze uważa, w pociągu ktoś się do pani zgłosi, tego kogoś przewiezie pani do Wiednia. W Wiedniu, już na dworcu, albo jeszcze lepiej u kierownika pociągu, proszę zgłosić, że to jest zbieg z Polski. Jego aresztują, takie są zwyczaje, ale nic mu się nie stanie. Bardzo musimy tę osobę ochraniać. On musi znaleźć się za granicą". "Jak wygląda, jak go poznaj?" - "Pozna pani. A jak nie, to on pozna panią na pewno." Więcej nic nie wiedziałam, wszystko było otoczone tajemnicą. - "Cały czas właśnie do tego zadania panią przygotowywaliśmy". Ja tego przygotowywania nie odczułam absolutnie.

W Warszawie zjadłam obiad u wujostwa. Rodzina wieczorem odprowadziła mnie na dworzec. Wuj oczywiście nie ominął kazania - pamiętaj, zachowuj się jak Polka, niech ci się w głowie nie przewróci. Jechałam drugą klasą. W przedziale było kilka osób. Miałam z sobą tylko podręczną rzecz w małej walizeczce.

Jedziemy. Nic się nie dzieje. Rozmowy byle jakie, jak to w

przedziale. Przychodzi konduktor i prosi o bilety. Patrzy na mnie i mówi: - "Pani do Francji, tak?" - "Tak". - "A gdzie są pani rzeczy?" Ciach, wziął moją walizeczkę. - "Pani pozwoli ze mna." Sensacja w przedziale. Było to za Warszawa. Konduktor prowadzi mnie p przez cały wagon, w następnym wagonie, kluczem otwiera drzwi przedziału, tam ktoś siedzi. - "Proszę pana, ta młoda osoba też jedzie do Francji, będzie panu weselej..." A tamten się wcale nie odzywa. W przedziale ciemno. Nie widzę, kto w nim siedzi. - "No to będzie państwu wesoło - powtórzył konduktor - życzę przyjemnej podróży." Przedziału już nie zamknął.

Siadłam przy oknie na przeciw tego pana, Był wtulony w swój płaszcz. Jechaliśmy w milczeniu. - "A gdzie jest ten - myślę - którego miałam przewieźć?" Przyjeżdżamy do Katowic, ruch na dworcu jak diabli. W końcu zapaliłam światło. Widzę, że mężczyzna może mieć czterdzieści lat. Zadnego głosu z siebie nie wydobywa. Gdy ruszyliśmy z Katowic, on ruszył do WC-tu. Przeszedł koło mnie jak koło powietrza. Za chwilę wraca, ale widzę, że ogarnia go niepokój. Nerwowo zaczyna wycierać nos, ręce jakoś tak składa, tędy, tamtędy, przygląda mi się bardzo. Na kolejnych stacjach wychodzi do WC- tu, za chwilę wraca i znowu poprawia nogawki. Mało nogawki, skarpety podciąga. Patrzą, a te skarpety jakoś dziwnie wyglądają, jakby tam coś było.

Myślę sobie, kto wie czy to nie ten. Ale jak zagaic rozmowę? - "Czy pan jedzie do Francji?" - "Nie, proszę pani, jadę do Wiednia." Myślę, to będzie ten. Ale przecież nie mogę zapytać, czy to pan jest tym panem, który miał ze mną jechać! Czekam, co będzie dalej. On pyta mnie: - "Nie orientuje się pani, czy Zebrzydowice będą za pół godziny, czy za godzinę?" - "O ile się orientuję powinny być za piętnaście minut." - "Co?! Za piętnaście minut?! Ja tu za chwileczkę przyjdę". Wyszedł znowu, wraca i

i znowu ten ruch, ale teraz już tylko skarpety podciąga, nie krępuje się mnie. Zauważyłam okropną czarną plamę na nodze. Zobaczyłam mój wzrok, szybko plamę zakrył. I dalej nic nie mówi, tylko jeszcze intensywniej mi się przygląda.

Przyjeżdżamy już do Zebrzydowic. Wtedy dopiero: - "Jestem tym na kogo pani czekała. Mogę pani powiedzieć tylko, że się czegoś obawiam i muszę wyjechać. Muszę wyjechać-. Czy pani rozumie?"

- "Niech pan udaje, że pan śpi." Wjechaliśmy do Zebrzydowic, do dzisiaj słyszę tamto szczekanie psów. Olbrzymimi wilkami otoczyli pociąg i weszli. Miałam wrażenie, że to gestapo. Ani dobry wieczór ani niech cię szlag trafi. Paszporty do kontroli.

Ian zakrył się płaszczem, a ja siadłam na tym płaszczu. Wzięłam od niego paszport, położyłam go pod spód, na wierzchu swój i podałam celnikom. Wysoki. Wtedy nie stemplowano paszportów na miejscu, tylko zabierali. Naraz widzę, że mój sąsiad dostaje drgawek. Aż skacze w tym płaszczu. Przysunęłam się do niego, prawie na niego usiadłam. Niedługo minęło, przyszła celniczka. Kazała mi ściągnąć moją walizeczkę, ściągnęłam, zaczęła w niej grzebać. - "Ręce przy sobie - mówię do niej - tam jest moja osobista bielizna. Proszę założyć białe rękawiczki." Baba wściekła się jak diabli. Zainteresowała się pudełkiem od zapalek, w którym był piasek. Na wódkę stojącą na stoliku, nie zwróciła uwagi. Tylko ten piasek. - "Co to jest?" - "Ktoś mnie prosił, żeby na grób rodzinny położyć polską ziemię." To była prawda. Chciała wysypać, ale spojrzała na zegarek i tylko pogrzebała. Oddała.

- "A rzeczy tego pana?" Mówię: - "Ten pan śpi." A on skacze znowu.

- "To jest jego teczka." I myślę, co on tam ma?! Przestał skakać, znaczy wszystko w porządku. - "Piżama, przybory do golenia i kanapki. Nic więcej." - "Tak mało rzeczy?" - "Widocznie mu starczy." Baba wyszła z przedziału. Po chwili jak furia wpadło dwóch,

trzeci stał na korytarzu. - "Proszę pani, tego pana paszport jest nie w porządku!" - "To koniec - myślę - Dla niego i dla mnie." Już nie skakał, a był prawie pod sufitem. Cały czas szturchałam go łokciem. - "Jak?! - mówię - Jak nie w porządku?! Proszę mi pokazać". Patrzę... Zdjęcie młodego blondyna! A tu pod płaszczem szpakowaty, czterdzieści lat. - "Jak nie w porządku?! Wszystko jest dobrze". - "Brak podpisu pod zdjęciem." Myślałam, że wpadnę pod ławkę. Mówię więc do niego - "Proszę pana, proszę pana, tu trzeba podpisać paszport." I do celników: - "Prawda, że jest nieważny?" - "No, no, ma pani rację. No młoda osobo, zbudzić pana. Niech pan podpisze." Podsuwam mu, a łapa mu cała dygodze. Ale jakoś się opanował, podpisał. A ja: - "No! teraz w porządku. Jedziemy dalej. Może papieroska panowie, a może wódeczkę, mam bardzo dobrą wódeczkę, tak po kieliszku." - "Ale wie pani na służbie..." - "Jaka służba? Jaka służba, już po służbie." I szybciotko kieliszeczek, miałam już przygotowany. - "Ten pan jest tak zmęczony, tak śpi, ale ja w jego imieniu tak dziękuję, że panowie czuwaliście i zauważyliście brak podpisu, bo co by było na tamtej granicy. Na polskiej granicy jest zupełnie inaczej." Rozpływali się z zachwytem.

W końcu wyszli z przedziału. Nie budzili mojego pasażera. Ruszyliśmy. Pan zwymiotował. Dobrze, że jakiś kawałek ligniny się znalazł, posprzątaaliśmy. Otworzyłam okno i on przez to okno. Krew nie krew, wszystko to jechało z niego okrutnie. I było mi go tak strasznie żal, mówię do niego: - "Niech mi pan powie prawdę, muszę wiedzieć czego się trzymać. Przecież jesteśmy dopiero w Czechosłowacji, dopiero o piątej rano będziemy w Petrowicach. A tam na pewno znowu przyjdą." - "Ja się strasznie boję, i czuję, że nie dojadę do Wiednia. Może przyjdzie taki moment, że panią zostawię, odbiorę sobie życie. Mam w okapowanym zębie truciznę. W razie czego nie wsypię pani. Jestem na to przygotowany. Pro-

szą tylko panią, żeby odwiedziła moją córkę i żonę. I powiedziała wszystko, co pani tutaj widziała."

Wtedy pokazał mi dokumenty, zaświadczające, że robili z nim doświadczenia. Był więźniem politycznym. Wpuszczali mu jakieś lekarstwo w zastrzyku. Pokazywał mi. Na lewej ręce miał bardzo dużo czarnych plam, na prawej mniej. Na głowie, pod włosami fioletową plamę. Tam wpuszczali jakieś inne lekarstwo, które powodowało ślepotę, Potem ogłuch. W końcu wypuścili go z więzienia. Zębów też w części nie miał swoich. Powybijali mu. Był straszliwie katowany, pokazywał ślady. Te dokumenty to były trzy zaświadczenia od lekarza więziennego. Lekarz stwierdzał w nich, że te wszystkie uderzenia, naddarcia naskóka, rozdarcia skóry na pośladkach, na plecach spowodowane były biciem pejczem, zakończonym jakimś ostrym przyrządem. Stwierdzał, że na panu robili doświadczenia z różnymi lekarstwami, które powodowały częściowy, czasowy paraliż, powodowały chwilową ślepotę. Zaświadczenie podpisał lekarz, dwie pielęgniarki, była pieczętka szpitala więziennego. Wyraźnie było napisane, że odbywało się to na Rakowieckiej. Lekarz więzienny sam zaproponował wystawienie tych zaświadczeń. I prosił, żeby je wyniósł z więzienia tak, żeby nikt o tym nie wiedział. Była to jego jedyna, bardzo przykra, pamiątka i świadectwo, że mówi prawdę.

Mój pasażer działał w AK. Gdy się ujawnił, doprowadzili go w więzieniu do takiego mniej więcej stanu jak "Mariana". A może jeszcze gorszego, bo temu zostało to do końca życia. Te doświadczenia robione na nim zostawiły trwałe ślady. W zdenerwowaniu wymiotował krwią i miał drgawki. Nie takie, jak przy chorobie padaczkowej, tylko stopniowo zaczynał się trząść. Najpierw prawa ręka, potem lewa i dalej całe ciało. Widok był okrutny. Oczy mu szły do góry, potem wymioty. Szczęście, że nie przy tych cho-

robnikach.

Gdy wypuścili go z Rakowieckiej, przede wszystkim udał się do lekarza. Dostał najpierw skierowanie na wszystkie badania. Lekarz kazał mu wrócić z wynikami. Godzinę po wzięciu do doktora przyszli UB-ecy i zagrozili, że jeżeli chce nadal pracować w szpitalu nie ma sobie zwracać głowy tym panem. Wieczorem przyszli do niego i powiedzieli, że to była pierwsza i ostatnia wizyta u lekarza. Tak opowiadał. Miał wyższe wykształcenie. Szukał pracy, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć, w końcu został woźnym na Politechnice w Warszawie. Zaczął się wtedy interesować młodzieżą. Zorganizował kółko sportowe siatkówki. Ci studenci w jakiś sposób skontaktowali się z taką samą uczelnianą drużyną w Wiedniu i chcieli zrobić wymianę. Było to już za Gomułki. Władze polskie wyraziły zgodę, żeby drużyna wyjechała. Ale bez trenera, który był woźnym. On absolutnie nie. Rano w dzień wyjazdu przyszedł do niego student - "Proszę pana, mam jeszcze dzisiaj końcowe egzaminy, a wyjeżdżamy wieczorem. Nie mam biletu. Bardzo pana proszę, tu jest paszport, niech mi pan kupi bilet. Umówiliśmy się na dworcu, przy pociągu." W porządku. Woźny pojechał, wyszedł z biletem i paszportem przed dworzec i prawie płakał, że oni wszyscy mogą wyjechać a on nie. Bardzo chciał zobaczyć, jak chłopcy będą grali. Nie myślał o ucieczce.

W tym momencie podszedł do niego kierowca taksówki i mówi: - "Proszę pana, ja pana obwiezę po Warszawie. Nic po pana nie będzie kosztowało, niech się pan nie boi." Taksówkarz był starszym gościem i jakiś taki sposób mówienia... - "Nie wiem - mówił - poczułem do tego człowieka zaufanie, nie wiem dlaczego." Wsiadł. Objechali całą Warszawę. - "Jestem rodowitym warszawianinem, więc z przyjemnością to wszystko oglądałem jeszcze raz. Przyjechaliśmy do mojego domu. Wtedy taksówkarz powiedział: -

"Ma pan paszport, bilet do Wiednia. Niech pan idzie pożegnać się z żoną i z dzieckiem. I proszę powiedzieć, że jedzie pan do Wrocławia. Niech żona przygotowuje tylko podręczne rzeczy. Proszę o więcej nie pytać. Ja na pana poczekam." Był tak tym wszystkim zszokowany, że jak wszedł do domu, dostał atak, znowu wymioty itd. Powiedział żonie, że jedzie z częścią drużyny do Wrocławia. Zabrał teczkę. Taksówkarz zawiózł go na dworzec i powiedział: - "Wsadzę pana do wagonu, będzie pan tam siedział tak długo, aż przyjdzie po pana konduktor. Wtedy będzie czekała na pana jedna pani. Jeżeli poczuje pan do niej zaufanie, proszę jej wszystko powiedzieć, Ale nie prędzej niż po Katowicach, tuż przed Zebrzydowicami." I taki skołowany, z biletem i paszportem, wsiadł do tego wagonu. Rzeczywiście przyszedł konduktor, zamknął go w przedziale, pociąg ruszył, przyszła ja. Wiedział o mnie tylko tyle, że jestem średniego wzrostu, blondynką. Dlatego tak mi się przyglądał.

Mówił długo. Przyjechaliśmy do Petrowic. Piąta rano. Stoimy na stacji. Długo. Nikt do naszego wagonu nie przychodził, Nasz przejazd jest tranzytowy. W pewnym momencie czujemy ruch wagonu - trach, trach. Myślę sobie, co się stało. Tak jakby odczepili nasz wagon. Kazałam mu siedzieć w przedziale. Ruchu żadnego nie ma, nikt nie wychodzi. W wagonie było parę osób. Wychodzę na stację, Podchodzi do mnie żołnierz czeski, - "A pani gdzie?" zapytałam, co się stało. - "Wasz wagon został odczepiony". - "Odczepiony? - mówię - Pan wie, co to znaczy dla mnie odczepiony?! Dzisiaj muszę być w Wiedniu, żeby złapać paryski pociąg." Ja po polsku, on po czesku, ale rozumieliśmy się. - "Będzie pani dzisiaj w Wiedniu, ale teraz musimy czekać." - "Wie pan co, chętnie bym się piwa napiła, ale nie mam koron." - "Przyniosę pani". Myślę, dobrze jest. Przyniósł z bufetu. Dałam mu w zamian dwa,

czy trzy polskie papierosy. Papieros i piwo i już inna rozmowa. - "Niech mi pan powie, co się dzieje". - "Prosta sprawa. W pani wagonie jadą Żydzi do Wiednia. Emigranci z Polski, Polacy Żydzi jadą do Izraela. Oni twierdzą, że ich konsulat żydowski opłacił im drogę, a my twierdzimy, że nic o tym nie wiemy. Dlatego nasze władze telefonują do Warszawy i jeżeli się okaże, że Żydzi mają rację, doczepimy wasz wagon do następnego wiedeńskiego pociągu. A jeżeli nie opłacili, pani pojedzie, a ich wywalimy."

Ludzie kochani! Wróciłam do wagonu i mówię, prawdę. - "Czy pani zdaje sobie sprawę z tego co to będzie? Przecież za chwilę władze polskie będą wiedziały, że uciekam. Granica czeska to to samo, co polska." - "Nic nie poradzę, musimy czekać. To prostu, zwyczajnie czekać." Ile czasu nie wiedziałam. Ale ten żołnierz podszedł do mojego okna i zastukał. Uspokajał mnie, że na pewno zaraz będzie jakiś sygnał i potem poczekamy tylko na pociąg. - "Ile godzin?" - "Trzy." Ha! przez trzy godziny może dużo się stać. Ten już trup. Cały zielony. Powiedział, że jest zimno, to był wściec, zamknęłam okno.

Ani czytać, ani gadać. Wszystkiego się odechciało. Były to najgorsze w moim życiu trzy godziny. Widziałam już siebie na szubienicy, rozstrzelaną, jego zabitego, dziecko, żonę, moje dziecko. On się oczywiście do mnie nie odzywał, tylko papieroch za papierochem, Myślę sobie, to nie do wytrzymania. Wreszcie ciach, ciach i znowu żołnierz puka. - "Już jedziecie!" Jedziemy. Wtedy zrobiło mi się niedobrze. Ale jeszcze jesteśmy w Czechosłowacji. Jeszcze nie możemy mówić, zwyciężyliśmy.

On miał na twarzy rozmaite kolory. Było już zupełnie jasno, nie może już owijać się w płaszcz. Namówiłam go do zażycia tabletki uspakajająco-nasennej. - "Nic w tej chwili nie będziemy robić, bo nic nie możemy robić, Możemy tylko przespać się i czek

kać na granicę austriacką, Może nam nic nie grozi." - "Ale na każdej stacji może być telefonogram - zatrzymać pociąg, jedzie w nim taki facet. Mam tę truciznę, może teraz odcepię kapę." - "Na to zawsze jest czas." Stale go pocieszałam, aż nareszcie zasnął, wtedy i ja się zdrzemnęłam.

Była siedemnasta po południu. Z hukiem otwierają się drzwi. Obudziliśmy się, - "Guten Abend". - "Co!?" - krzyczę po polsku. Konduktor uśmiechnął się. - "Guten Abend". - "Jezus Maria! Panie Romku! Jesteśmy na wolności! W Austrii, Nic nam już nie grozi!" Zemdlał. Autentycznie zemdlał. Konduktor się zainteresował. - "On ucieka z Polski." - "No, no, no, i to w tym pociągu, wyczekaliście się biedacy." Wszedł jakiś facet, przyszedł ubrany po cywilnemu i zajął się moim pasażerem, który bardzo szybko przyszedł do przytomności.

Na początek uściskaliśmy się wszyscy, rozryczeliśmy się. Austriak poprosił o paszporty. Spojrzał na jego: - "No, ładny ma pan paszport, podobny pan idealnie. Wiek, wszystko się zgadza." I do mnie: - "Gdy będzie pani w Wiedniu proszę nic nie mówić i się nie przerażać. Musimy państwa zamknąć, tak dla pozorów. Na pewno nic się państwu nie stanie. Po prostu takie są przepisy. - "Zaraz sprowadzę lekarza" Kierownik pociągu pytał czy nam czegoś nie potrzeba, przyniósł herbatę, kawę. Chciałam iść z moim podopiecznym do restauracyjnego. - "Nię, nie chodźcie nigdzie. My się ~~obawiamy~~ niczego nie obawiamy, ale jesteście tak wyczerpani nerwowo, nie wiadomo, jak ten pan by przeszedł, jak by się czuł w wagonie restauracyjnym. Po co wzbudzać sensację". Przynieśli nam do przedziału śniadanie. I tak przyjechaliśmy do Wiednia.

Zawieźli nas samochodem, wszystko cywile, do komendy. Tam musiałam opowiedzieć całą drogę. Paszport zatrzymali. Mój pasażer siedział obok mnie. Opowiadał swoje wrażenia. Mówił, że

wszystkie potrzebne dokumenty ma przy sobie. W porządku, nie badali dokumentów.

Kazali nam się pożegnać, tzn. mnie i temu panu. - "Już więcej się widzieć nie będziecie." Ja się rozryczałam, przywizałam się do niego. Taka podróż wiąże ludzi. Uściskaliśmy się, ucałowaliśmy się. Odszedł z dwoma panami. A mnie pokazali Wiedeń nocą, Potem pojechaliśmy na bardzo dobrą kolację, zatrzymałam się w świetnym hotelu. Przekonali mnie, że bez sensu jest jechać teraz, skoro w południe następnego dnia miałam pociąg. Dostałam bardzo ładny pokój w hotelu. # "Teraz spokojnie pani sobie odpocznie, wyśpi się, wykąpie, Jeśli będzie pani chciała jeszcze coś zobaczyć, tu jest telefon, proszę dzwonić". Ale byłam tak skonana wrażeniami, zrobiło się bardzo późno, coś druga w nocy, że już nic nie chciałam, tylko się wykąpać i przespać.

Na drugi dzień koło południa, przyjechali po mnie. Pojeździliśmy jeszcze raz po mieście - chciałam zobaczyć Wiedeń za dnia. Wreszcie był czas na paryski pociąg. - "Na pewno jest pani ciekawa, co zrobiliśmy z tym panem. Mieszka w willi pod Wiedniem, nie wolno mu się z tamtąd oddalać, ale może chodzić po ogrodzie. Oczywiście jest pod odpowiednią opieką. Musi przejść badania lekarskie, musi być trochę podleczoney. A potem pojedzie do Ameryki. Potrwa to trzy, cztery miesiące. Muszą jeszcze niektóre rzeczy poprawiać, żeby zamknąć pewną całość. Pani, ktoś na pewno za to serdecznie podziękuje, bo to była duża sprawa." Nie mówili dlaczego to była duża sprawa.

Nie wiem kto to był. Mówiłam do niego - panie Romanie - to było imię z paszportu, on nie prostował. Na dokumentach z więzienia nie było nazwiska. Były takie zaświadczenia bezosobowe - zaświadcza się, że przeprowadzono takie a takie doświadczenia z lekami, które wpływały ujemnie na wzrok, na słuch... Przypuszczam, że dla tego, by zachować środki ostrożności.

Jeszcze w Austrii staraliśmy się odtworzyć, jak to się wszystko odbyło. Musiało to być zorganizowane - student, taksówkarz, konduktor, celnicy... Inaczej to się nie miało prawa udać.

W pociągu "wolnościowym" miałam ciekawe spotkanie. Po rozruchach na Węgrzech młody człowiek z rodzicami jechał do Bazylei, do Szwajcarii na leczenie - trzymano go dwa dni w zimnej wodzie w więzieniu. Rodzice byli bardzo zamożni, Węgrzy, mieli w Bazylei rodzinę. Mówili trochę po niemiecku, ale słabo więc szczegółów nie poznałam. Dowiedziałam się tylko, że ich syn brał udział w wypadkach węgierskich. To był kwiecień 1957 roku.

Przyjechałam do Francji. Papie nie mówiłam, jaką miałam przysgodę.

Byłam tam cztery miesiące. Pracowałam w fabryce, przyszywając metki do krawatów. Wróciłam do Polski dlatego, że Polska nie była niepodległa. Musiałam wrócić do Polski. Takie było moje zadanie. Nie siedzieć w wygodach we Francji. Mnie zobowiązywała przysięga, że zawsze będę wierna Polsce. I jestem do dnia dzisiejszego. Dla mnie w tej chwili też Polska nie jest niepodległa. I zawsze będę walczyła póki mi starczy sił, zdrowia. Więc po prostu to był nakaz. Nakaz powrotu do kraju. Miałam po prostu urlop, mogłam podwiedzać znajomych, porozmawiać, żeby mieć szerszy odbiór, żeby zregenerować siły psychiczne, żeby wrócić znowu do pracy.

Wróciłam pod koniec sierpnia, wróciłam do pracy. 6 września po południu dwóch cywilów czekało na mnie przed domem. Właśnie wracałam z pracy Powiedzieli: - "Jest pani aresztowana pod zarzutem działania przeciwko Polsce". - "Nie, Ja przeciwko Polsce nie działałam". Pokazali nakaz rewizji i aresztowania. Później powiedzieli, że działałam przeciwko Związkowi Radzieckiemu! Przerzyli mieszkanie. W czasie rewizji dojechało dwóch wojskowych.

To był pierwszy zarzut. Dokładnie to brzmiało: przeciwko władzy ludowej i ZSRR. Przyjaźń, a ja tu występuję przeciwko nim! Przeciwno ustrojowi, przeciwko władzy. Drugi zarzut brzmiał, że się nie ujawniłam, będąc w AK.

Sledztwo trwało dwa lata, czyli do 1959 roku. Zarzucali mi kontakty z Francją, skrzynki kontaktowe w Szczecinie, tłumaczenie listów. Wszystkiemu zaprzeczałam, mówiłam, że muszą mi to udowodnić. Nie zaprzeczyłam tylko, że należałam do AK. Powiedziałam: - "Tak, to prawda, należałam do AK, Należałam do tej części społeczeństwa, która walczyła z wrogiem w czasie wojny, w czasie okupacji radzieckiej." - "Co to znaczy okupacja radziecka w pani pojęciu?" Ja mówię: - "39 rok. To była okupacja radziecka". - "Mamy więc już jeden dowód, że działała pani przeciwko. To co pani teraz mówi jest już działaniem przeciw". - "Ja się tego nie wypieram. Dla mnie jak i przypuszczalnie dla szeregu innych osób była to okupacja."

Wiedzieli nawet o pokoju, tym rzeszowskim. Wszystko wiedzieli

- "A co tam było na Jagiellońskiej 18, na górze? - "Strych".
- "Co jeszcze?"
- "Mieszkanie, pokój właściciela."
- "I pani wynajęła."
- "Nie, przecież ja miałam mieszkanie u matki w tej samej willi."
- "Ale my wiemy w jakich celach pani wynajęła pokój".
- "W jakich?"
- "Konspiracyjnych pani Nino."
- "Proszę o dowód, jeden dowód, w tej chwili się przyznaję. Coś tam było na strychu. Na pewno było. Ale co, to ja nie wiem, zawsze jest coś na strychu, stare rzeczy są".
- "Niechcesz pani nie będzie naiwna."
- "Dowód!"
- "Ile broni było na strychu?"

- "Jakiej broni?"

- "To pani wie, nie my."

- "Nieee. Wy wszystko wiecie. Że tam była broń, że pokój zakonspirowany. Jaką konspirację? W Polsce Ludowej konspiracja?! Dawno by byli odkryci. Dawno."

Chcieli, żebym szczegółowo opowiedziała na czym polegała moja praca przeciw komunizmowi. Jak to wyglądało.

- "Normalnie wyglądało. Po prostu walczyłam."

- "Ale jak?"

- "Tak jak mówicie. Pan tak samo by walczył, w odwrotnej sytuacji. Pan jest członkiem partii, ja pana wsadzam do więzienia a pan mnie uważa za wroga."

- "Oj...!"

I takie dyskusje. Mówiłam, że walczyłam przeciwko sowietom, wszystkimi środkami dostępnymi kobiecie.

- "To znaczy?"

- "Niech pan sobie wymyśli. Ja mam mówić? Powiem wtedy, gdy mi pan pan przedstawi dowody. I w sądzie, nie tutaj."

Wyszła w czasie śledztwa sprawa Wiednia.

- "Co to było z tym panem /nie mówili nazwiska/, który jechał do Wiednia, a był woźnym na politechnice?"

- "Normalnie. Co miało być? Przecież wolno jeździć."

- "Tak, ale miał fałszywy paszport."

- "A skąd ja mogłam wiedzieć? Czy ja byłam od tego, żeby sprawdzać?"

- "Pani wiedziała"

- "Skąd ja mogłam wiedzieć? Czy ja się znam na paszportach?" "A zreszta nawet gdybym wiedziała, to bym nie powiedziała"

- "O! O to właśnie chodziło, wiedziała, a nie powiedziała."

- "Nie, nie wiedziałam."

- "Ale pani powiedziała, że gdyby pani wiedziała, to by pani nie

powiedziała."

- "Gdybym wiedziała."

To łapanie za słówka wychodziło potem w protokółach. Zapisywali w nich zupełnie inaczej niż to brzmiało. Już samo powiedzenie "gdybym wiedziała" świadczyło przeciwko mnie. Zapisywali, że działałam przeciwko ustrojowi, przeciwko władzy ludowej. Bo spotkałam człowieka, który nie wiadomo kim był, ale wiadomo, że miał skradziony paszport. I ja o tym władzom nie doniosłam. A powinnam była. Jeżeli się czuję Polką powinnam ochraniać władzę ludową przez zgłoszenie.

- "Co innego proszę pania jest doniesienie, a co innego zgłoszenie".

Trzeba było bardzo uważać na to co on mówi.

- "Pani sumienie Polki powinno nakazać zgłoszenie celnikom, że jest nie w porządku. A pani tego nie zrobiła. Jak pani się mianuje Polką? Działała pani przeciwko władzy ludowej, przeciwko ustrojowi, przeciwko Polsce. A ten pan - przeciwko Związkowi Radzieckiemu".

Działał przeciwko, bo siedział. Mówię:

- "Tak siedział, dlatego, że był w AK."

- "A widzi pani, gdyby się ujawnił, nie siedziałby."

- "Nie prawda. Ci też siedzieli."

- "Skąd pani wie?"

- "A stąd, że moi koledzy siedzieli."

- "Widać źle się ujawnili. Gdyby podpisali deklarację przystąpienia do Wojska Polskiego /byli to chłopcy w wieku poborowym/, że chcą walczyć z Hitlerem, z Niemcami, w wojsku polskim, to zupełnie co innego. A to była zwykła banda."

- "Żadna banda, pan mnie obraża. I moich kolegów, którzy nie żyją."

-

- "Znaczy pani współdziałała z nimi."
- "Nie współdziałałam, pracowałam, nie współdziałałam."
- "To wszystko jedno."
- "Jest różnica."
- "No tak ale nie działała pani na naszą korzyść, a miała pani pożliwość. Mianuje się pani Polką, zna pani tyle języków obcych i co nie umiała pani tego wykorzystać?"
- "Owszem umiałam."
- "Gdzie, kiedy?"
- "U Hartwiga."
- "Gdzie, kiedy?!"
- "Panowie doskonale wiecie, że pracowałam tam jako teletypistka na dalekopisach."
- "Acha! Wobec tego używała pani do swoich usług dalekopisu."
- "Do żadnych usług."
- "To są usługi,"
- "Tak, ale były to usługi na rzecz firmy."
- "To się tak mówi. Na rzecz jakiej firmy? Hartwiga?"
- "Tak, Hartwiga".
- "Przedtem pani powiedziała inacze."
- "Powiedziałam tak samo."
- "Nie, pani Nino, inaczej. Jest już pani zdenerwowana, niech pani idzie do celi."

Czasami tak potrafili mnie wykołować, że na prawdę nie wiedziałam, co mówiłam. Ile razy myślałam, Boże, żeby mnie tak gwizdnęli, było by lepiej, żeby mi dali lanie i święty spokój. Wytrzymałabym, jakoś bym wytrzymała, tylko żeby nie było tych podchwytliwych pytań, tego ogłupiającego wmawiania.

Na początku przesłuchania miałam codziennie, potem raz na

tydzień, potem dwa razy w miesiącu. Codziennie przesłuchiwali mnie przez dobre osiem miesięcy. Dzień w dzień. Przez pierwsze dwa tygodnie tylko w nocy. W dzień nie mogłam się położyć spać, ale mogłam siedzieć i drzemać. Na drewnianym stołeczku. A łóżko przypięte. To wszystko były śledcze więzienia.

Kiedy zauważyli, że jestem zanadto skąpa w słowa, mimo że oczywiście obiecywali mi wolność, wzięli się na inny sposób. Porucznik śledczy, któregoś dnia zaproponował, że pojedzie do mojej matki i poprosi, żeby napisała do mnie parę słów.

- "Będzie się pani psychicznie lepiej czuła i wtedy nasze rozmowy będą inaczej wyglądały". Zgodziłam się. Przez pewien czas nie miałam przesłuchań, nareszcie, wtedy siedziałam na Toledzie w Warszawie, na Ratuszowej, przewodnik wziął mnie na przesłuchanie. Ten porucznik cały w uśmiechach pyta:

- "Czyja to chusteczka od nosa?"

- "Mojej matki."

- "A ten grzebień?"

- "Też."

- "A to lusterko?"

- "Też".

- "Wierzy pani, że byłem u pani matki?"

- "Wierzę".

- "A czyj to list?" - patrzę mojego ojca.

- "Widzi pani? Pani ojciec napisał list do pani matki - adresowany jest do pani matki. Nie do pani. Teraz nich pani siądzie, zapali papierosa. Ma pani przy sobie?"

- "Mam."

Ja ich papierosów nie paliłam, ani kawy. Na wszelki wypadek.

- "No i muszę pani coś bardzo przykrego powiedzieć, pani mat-

ka nie napisała nawet paru słów. Wyprosiłem u niej tylko jakieś rzeczy, żeby pani udowodnić, że to co tu powiem jest prawdą. Otóż pani matka powiedziała, że nie chce mieć żadnych kontaktów z panią. Ponieważ bardzo pani matkę zawiodła. Ojciec, jak wynika z tego listu, przychyliła się do zdania matki, też nie chce mieć żadnych kontaktów. Gdy pani stąd wyjdzie, nie ma pani gdzie iść. Stąd brak listów, stąd brak paczki. Słyszała pani wywoływanie więźniarek do otrzymywania paczek i listów? Nie będę dzisiaj pani przesłuchiwać, bo wiem, że pani musi ze swoim bólem gdzieś się skryć."

Przeczytałam list, ale jakiś dziwny mi się wydał. Niby charakter pisma ojca, ale nie. Rzeczywiście było napisane, że jest zawiedziony, że przychyliła się, po rozmowie telefonicznej z matką, do opinii, że muszą zrezygnować z córki. Trudno, stało się, niepotrzebnie się wdał a w pewne towarzystwo. Nie będzie żadnej pomocy, w ogóle nie będą się moim losem interesować. Matka mieszkała wtedy pod Poznaniem, w Strzeszynie. Myślę sobie: nie daje mi listu. Nie dał mi go do ręki, trzymał na biurku. I ten podpis jakiś taki dziwny. Szybko zwinął list. Mówił, że dać mi go nie może.

Gdy przyszedłam do celi, nie wiedziałam, czy płakać, czy zastanowić się nad tym wszystkim. Niby trochę mi pasowało, Mamy rzeczy były. Ale ten list. Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, żeby moi rodzice... Mama przecież zawsze była negatywnie ustosunkowana do nowej władzy. Foruszniak powiedział jeszcze, że profesor Kanafojski chciał jechać do swojego jedyne go brata do Szwajcarii i nie dostał paszportu. Wszystko przeze mnie.

- "A pani wuj w Szwajcarii jest ciężko chory na serce. I chciałby się ze swoim bratem widzieć może ostatni raz."

Wszystko to przemyślałam w celi i tak strasznie przykro mi się zrobiło i jakoś tak poczułam się okropnie sama w tej celi, gdzie dotychczas, mimo że byłam sama, potrafiłam jakieś wiersze mówić, to pośpiewać, to sama z sobą porozmawiać, A teraz pomyślałam, raptem wszystko zaczyna się walić. Widzę czarną przepaść, nie widzę żadnej przyszłości, nie widzę nic. Była to pora obiadowa. Oddziałowa otworzyła celę, za oddziałową stała dowódca. P

Patrzy na mnie i mówi:

- "A wy co taka blada? Zle się czujecie? Do lekarza."

I patrzy na mnie prosto w oczy i mówi jeszcze raz:

- "Lekarza?"

- "T...tak, poproszę."

Widziałam lekkie westchnienie u niej. Jak już dostałam obiad, zjadłam, przyszedł do mnie do celi lekarz. Pyta, co mi jest, czy jestem po przesłuchaniu. Tak. Nie miałam zaufania do niego, był obcy, nie wiedziałam, kto to jest.

- "No to damy coś na uspokojenie. Czy żołądek boli?"

Oddziałowa stoi z tyłu..

- "A tutaj, w tym miejscu, nacisnę, boli prawda?"

- "Tak" - mówię

- "To dietę trzeba dać, oddziałowa, niech pani zapisze dietę. Trzeba zastosować jakieś środki uspokajające, bo to jest histeria."

Mówię, niech będzie histeria, wszystko jedno. Jak wychodził, rękę trzymał z tyłu i miał w niej papierek. Szybko wzięłam ten papierek. Lekarz wyszedł. Czytam. "Nie martw się niczym." Żadna z politycznych nie otrzymuje ani listu, ani paczki, anie żadnej wiadomości z domu. w czasie śledztwa. I to wszystko, co ci naopowiadał śledczy, to bzdura i kłamstwo. Wyciągnij wnioski." Myślę sobie: no to ja zaraz wyciągnę wnioski! Na drugi dzień

przychodzi przewodnik. Na przesłuchanie. Cela nie była malowana tylko białkowana, więc wzięłam trochę tej kredy, odpowiednio się nasmarowałam, miałam to lusterko od mamy, lusterko mi dał, błada...!okrutnie. Przychodzę na przesłuchanie.

- "No i co pani Ninko." a ja prawie płacząc: "Panie poruczniku, ja nie jestem w stanie cokolwiek zeznawać." - "Rozumiem panią, idziemy do celi?" - "Taaak." I tak go przetrzymałam miesiąc. Nie mogłam mówić. Po prostu byłam załamana. Odzieżowe też to stwierdzały. Szczególnie pani dowódca skarżyła porucznikowi, że bardzo słabo jem, że w ogóle nie chcę chodzić na spacer /co było nieprawdą, zawsze wychodziłam na te 15 minut/, że w ogóle nie wiadomo, co ze mną będzie. Jeszcze tak załamanej więźniarki nie widziała. Chyba jestem gotowa do przesłuchania. I radzi codziennie próbować. A ja codziennie dawałam mu szkołę. Bo jak ja sobie proszę pana to wszystko przypominę, co mi pan naopowiadał, a ja rodziców tak strasznie kocham, to w ogóle nie mogę mówić. Widzi pan, gardło mam ściśnięte, koniec.

Po miesiącu pan był wściekła, ale trzymał fason, Jedyna rada, prosić pułkownika, wtedy jeszcze majora, prokuratora Chomętowskiego /tamten był śledczym/. Major wyciągnął szufladę, z szuflady pistolet, położył na biurku. Pytam, po co. - "Czy będzie pan strzelał, czy ja mam strzelać?" Nic nie odpowiedział. A trzeba dodać, że major Chomętowski był rasowym przedstawicielem polskiej armii - mundur jak prosto od krawca, paznokcie wyczyszczzone, elegancko utrzymany, woda kolońska taka, że pokój do przesłuchiwań pachniał dłuży czas po jego wyjściu, nigdy nie siadł pierwszy dopóki ja nie siadłam, zachowywał się... gentelman w każdym calu. To była gra, jego oczy mówiły zupełnie co innego.

- "Proszę panią, będziemy rozmawiać?" /Poza służbą więzienną nikt do mnie wy nie mówił/.

- "Naturalnie, że będziemy rozmawiać."
- "To może zaczniemy od początku."
- "Od początku nie mogę, bo jestem zdenerwowana."
- ‡ "A czym pani jest zdenerwowana?"

Nadaję znowu to samo, co nadawałam przez miesiąc porucznikowi.

- "Ja to wszystko wiem. Kolega mi mówił, ale teraz rozmawiam z panią poważnie."
- "Ja też mówię poważnie. Rodzice się mnie wyrzekli. Czy pan wie, co to jest dla jedynaczki?!"
- "Jak się pani w tej chwili nie uspokoi, to ja panią uspokoję."
- "Ciekawe, jak, biciem? Nieee, jeszcze bardziej będę zacięta, bo ciągle widzę ojca i matkę przed sobą."

Wtedy wstał z krzesła, i usłyszałam:

- "Czy będziesz mówiła kurwo jedna!?"

Wzięłam więc krzeselko, na którym siedziałam, podniosłam i zleciałam na podłogę. On:

- "Histerię jeszcze kurwa tu urządza."
- "Nie panie majorze, ja histerii nie urządzam. Zleciałam z krzesła ze zdumienia. U pana, u gentelmana taki wyraz? To nie pasuje. Co pan sobie wyobraża? Jestem w mundurze więziennym, pan jest w mundurze oficera Wojska Polskiego i tak pan się zachowuje w stosunku do więźniarki politycznej? Jak pana nauczyli panie majorze? Jak pan w ogóle stoi przede mną?! Od tego momentu nie powiem ani słowa. Możecie mnie zabić. Nie zależy mi już na życiu."

Widziałam, że ma ochotę mnie wyrznąć, aż ręce musiał wziać do tyłu.

- ‡ "Wyprowadzić!" Wyprowadzili. I znowu pół miesiąca milczenia. Teraz już byłam zdenerwowana przesłuchaniem pana majora.
- "Panie poruczniku, pan słyszał, co on do mnie powiedział?"

Kurwa na mnie powiedział! Jak śmiał!? Proszę to zaprotokółować."

- "Czy pani nie rozumie - mówi porucznik - że ktoś może być zdenerwowany?"

- "Nie. Ja mogę, ja mogę tu zaraz drakę zrobić jak diabli. Mnie wolno wszystko milczeć, kłamać, urządzać tutaj cuda, ale nie wan. Chyba, że będziecie bić, a to do was podobne. Ja na to czekam."

- "No to się pani nie doczeka! "Czy będzie pani nareszcie odpowiadać na pytania?"

- "Nie, nie mogę, żołądek mnie boli. Jak sobie przypomnę, major wojska polskiego..."

- "Czy pani jest normalna?!"

- "Ja nie wiem. Wyście ze mnie wariatkę zrobili."Może trzeba badań psychiatry?"

- "Jak pani sobie życzy, proszę bardzo." I wzięli mnie.

To był ich lekarz. Zapowiedział: -"Teraz bez komedii." - "Ale ja nie mam zamiaru symulować. Jestem więźniarka polityczną , jak najbardziej normalna. Proszę o wszechstronne badanie i panu udowodnić." Brali nawet szpik kostny. Trzech mnie badało. Reakcja kończyn, wzroku, testy, wszystko, żeby mnie tylko zmęczyć, Przypuszczam, że żeby mnie zmęczyć. Gdy po tygodniu, po takim badaniu, porucznik się ze mną wdział, byłam cała wiotka.

- "Nie mogę. Boli mnie głowa."

- "A od czego boli panią głowa do cholery!"

- "Niech się pan nie zapomina. Głowa mnie boli, bo mnie tutaj kłuli."

- "Kto pania kłuł! Świadców"

- "Świadców nie ma, bo to są wasi ludzie, ale jest ślad. Od tej pory w ogóle nie nie mówię."

- "A dlaczego?!"

- "Jestem zdenerwowana! Niech by pana tak kłuli!"

- "Jeszcze raz pani powtarzam, nie kłuli pani!"

- "Kłuli! I pokażę panu, jak siedziałam na krześle. I co pan na to?"

- "Niech już panią zaborą do celi, ja już nie mam siły."

- "A ja mam mieć siłę?"

- "Pani ma siły, stale się pani ze mną kłóci."

- "Nie, to pan się ze mną kłóci."

- "Niechżesz pani już idzie!"

I tak to trwało. Jeszcze jeden śledczy przyszedł. Ale był słaby. Bardziej on się zakamał niż ja. Bo jak ja mu zaczęłam zadawać pytania... Mówię: - "Pan jest bardzo młodym człowiekiem. Co będzie, gdy sytuacja się odwróci?"

- "Jaka sytuacja?!"

- "Ja będę na pańskim miejscu, a pan na moim."

- "A skąd pani wie?"

- "Z gazet."

- "Przecież pani nie czyta gazet."

- "Nie szkodzi, ale wiem."

I tak dotrwałam do rozprawy. Cały czas tak to usiłowałam rozgrywać. Musiałam zyskać na czasie, uporządkować myśli. Chciałam wiedzieć, kiedy mogą mnie zahaczyć. Że nie będą mnie bić. Byłam święcie przekonana - że zawsze robili na przekór, zauważałam, to. Jak mówiłam: - "Proszę bardzo, jestem przygotowana na bicie, czy mam zdjąć bluzkę?" to od razu do celi.

W oskarżeniu napisany był art. 5 KK - szpiegostwo. Co trzy miesiące dostawałam kolejne postanowienia o tymczasowym aresztowaniu. Oczywiście było też w tych papierach podane rozwinięcie oskarżenia: współpraca z Francją, nieujawnienie się, kiedy był czas ujawniania swojej pracy konspiracyjnej. O, dosłownie. Określali to jako pracę konspiracyjną. Dokładnie brzmiało to: "zatajenie pracy konspiracyjnej od czasów okupacji niemieckiej

po dzień aresztowania." Wszystkie lata ujęli razem, czy byłam czy nie byłam.

Przeczytałam o sobie a rtykuł w gazecie - zjeżyły mi się włosy na głowie i już czułam, że KS murowane. Było tam napisane, że przechwycono siatkę szpiegowską i znaleziono w czasie rewizji dwa pistolety, cztery karabiny, szereg naboji, specjalne kalki oraz inne materiały. Jakie "oraz inne", nie wiadomo. Wyglądało na to, że została złapana "gruba ryba". Napisano, że broń znaleziono u mnie. W Szczecinie, na ulicy Libelta, u pani Janiny Pudelewicz. Lepiej już napisać nie mogli. Artykuł ukazał się w tym czasie, gdy siedziałam w Warszawie. Przemycono mi go pod chlebem, podczas śniadania. Był wycięty z gazety z napisanym tytułem /Trybuna Ludu/ i datą /dwa, trzy miesiące po aresztowaniu/ ręcznie, drukowanymi literami.

Ucieszyłam się bardzo i powiedziałam do śledczego, że oskarżę go i jego podobnych, o podawanie fałszywych wiadomości.

- "Gdzie pan znalazł broń?" - on nie był w czasie rewizji.

- "To gdzie są ci, którzy znaleźli broń? Przecież pan mi w czasie śledztwa nie mówił o broni."

- "Bo nie miałem tego rodzaju zarzutu przeciwko pani. A miała pani broń?"

- "Widocznie tak, skoro w gazecie piszą, Oskarżę was za publikowanie fałszywych informacji."

- "Wyczytuje pani bzdury, nie wie pani, jak to dziennikarze rozdmuchują?"

- "Tak? A cały czas było mówione, że prawdę się pisze w prasie. Więc jak to jest? Pan sam sobie też zaprzecza." I zaczęła się dyskusja na ten temat, od razu. Nie zapytał skąd miałam ten wy-cinek. Był jakiś zdezorientowany. Może wolał nie pytać.

A mnie nie wolno było posiadać żadnej gazety, żadnej książki. Mowy nie było. Nic nie miałam. Dopiero ten grzebień mamy i lusterko - dostałam po jakichś dwóch, trzech miesiącach. Jak mnie zabierali z domu, nie pozwolili mi nic zabrać. Tylko papierosy, I tak jak stałam w krótkich rękawach, w sukience, to był ciepły wrzesień, bez pończoch, tak mnie zabrali. Chciałam coś wziąć, ale powiedzieli, że nie wolno i że nic mi się nie stanie.

Z domu trafiłam prosto do celi, bez żadnych przesłuchań. Pierwszą noc spędziłam w Szczecinie, w areszcie Urzędu Wojewódzkiego, w podpiwniczeniu. Byłam sama w celi. Światło palito się całą noc. Rano zabrali mnie stamtąd i wywieźli samochodami do Szczecina Dąbia. Paskudne więzienie. Woda była tak niedobra, że cokolwiek zrobiono na tej wodzie nie było do jedzenia. Ja tego nie mogłam jeść. Więc nie jadłam.

Miałam tam jedno zdarzenie z oddziałową. Postawiła grochówkę w blaszanej misce na ziemi, otworzyła celę i popchnęła nogą. Troszeczkę rozlała i mówi: - "No to ty suko żryj teraz." Zdenerwowałam się i tą grochówkę pach jej na głowę. Poszłam do ciemnicy. I tam spędziłam dwa dni.

Ciemnica była w piwnicy. Normalne cele tam też wyglądały jak piwnica, ale to była typowa piwnica tego więzienia. Wilgoć, bez okna, było zabite deskami i ława. Więcej nic, Od czasu do czasu przychodził oddziałowy, oddziałowe tam nie przychodziły, i podawał mi wodę z kawałkiem chleba. W celi był jeszcze kibiel. Żadnego łóżka. Tylko ta ława, na której jak ktoś chciał mógł spać. A jak nie to na podłodze. Żadnej pościeli, kocy. Potem się dowiedziałam, że była to tzw. "podwójna kara" - twarde łoże i ciemnica. W normalnej celi była jedna prycza, na dzień przypinana do ściany, na noc odpinało się ją, jeden stołek, kibiel i koniec. Deski na oknie. Bardzo brudne ściany, w ogóle brudno.

Żadnego kontaktu z nikim nie miałam. Nawet mnie nie przesłuchiwali. Prosto z domu trafiłam do celi.

Po tygodniu w Szczecinie Dąbju byłam pierwszy raz przesłuchiwana przez, wtedy jeszcze kapitana, majora ~~Chomentkowskiego~~ Chomentkowskiego i do którego trzeba było mówić pan Staszek. To on głównie mnie później przesłuchiwał. Krótco po tym przesłuchaniu oddziałowa, ta od grochówki, otworzyła drzwi i kazała się zbierać. Sprowadziła mnie na dół. Tam stały samochody. Jeden samochód był na początku, w środkowym samochodzie siedziałam ja i z tyłu też samochód. Konwój! Niebezpieczna. Tak jechaliśmy do Warszawy.

Po drodze zatrzymaliśmy się w Poznaniu na Kochanowskiego. Tam mnie sprowadzili na dół i czekałam trzy godziny. W celi. W takiej, jak oni to nazywali, przelotowej. Był tam tylko stół i dwa stołeczki. Siedział ze mną w tej celi jeden z tamtejszych oddziałowych. W ogóle się do mnie nie odzywał. Ale dostałam dobre jedzenie. Pierwszy raz dostałam dobre jedzenie.

Nie wiedziałam, do jakiego więzienia mnie wiozą. Nie powiedzieli mi. Zauważyłam, że przejeżdżamy Aleją Róż, tam gdzie są ambasady. Musieli tam dosyć wolno jechać, ponieważ był spory ruch. Siedziałam w środku, z lewej i z prawej strony panowie, ale widziałam, że jak z lewej strony mocno kopnę drzwi, to wylecę. Nie miałam na rękach kajdanek, ponieważ politycznych nie wolno było kuć. Oni mi tak powiedzieli - politycznym się kajdanek nie zakłada. I był taki moment. Pomyślałam tak, jak ja jego kopnę lewą nogą tam gdzie potrzeba, a prawą nogą - a miałam bardzo wyćwiczone nogi - strzelę w te drzwiczki, to najwyżej wylecę, poturbuję się, ale się doczołgam do pierwszej lepszej ambasady zachodniej. Przeleciały mi te myśli w ułamku sekundy i w tym momencie złapali mnie za obydwie ręce. Może coś przeczuli, może jakiś ruch zrobiłam, może po oczach poznali,

ale momentalnie mnie trzymali za ręce. Bez słowa, Pod wieczór zajechaliśmy na Rakowiecka. Pamiętam jak dzisiaj, że dostałam zaraz wędzone dorsze. Suche jak diabli, a słone! Pić się potwornie chciało, ale byłam głodna. Tak że te łupacze, jak je nazywano, zjedliśmy, no i przywitał mnie znany oddziałowy "Słoneczko". Bardzo przystojny oddziałowy o niebieskich oczach, jasnych włosach, przypuszczalnie pochodzenia niemieckiego, tak więźniowie mówili. No i do celi. Bardzo duża cela. Bardzo czysta. Wybielona. Ale podłoga - cement, który trzeba było myć. Nie byłam doświadczona więźniarką i nie wiedziałam, że jak się myje cement, to wilgoć wchodzi w kości. Nie wiedziałam i z przyjemnością myłam, bo miałam jakieś zajęcie. Znowu byłam sama. Cały czas na Rakowieckiej byłam sama. Nie miałam grzebienia, nie miałam się czym czesać. Czesalam się palcami, a miałam długie włosy. I w tej jednej sukieneczynie z krótkimi rękawami, a to już był koniec września. Twierdzili, że ubrania więziennego nie mogą mi dać, ponieważ jestem w śledztwie. Kaloryferów nie było. W celi były piece. Ale jak raz na tydzień palili, to było dobrze. Nie umiem dzisiaj powiedzieć, jak mogłam przetrwać w tak słabo opalanej celi, przecież tam zimowałam. Było tak zimno, że mogłam pisać literki na szronie, który pojawiał się na zewnętrznej ścianie. Nie wiem, czy to nerwy robiły, że człowiekowi nie było zimno? Bo przecież nie czułam, że jest mi zimno. Trochę w nogi, miałam sandały na bosych nogach. Kocem je sobie okrywałam. Czy może wrażenia spowodowały to, że nie czułam zimna? Może to, że sobie mówiłam wiersze, że śpiewałam? Że sama sobą się zajmowałam?

Były spaceru 15 minutowe. Nikt mnie tego nie uczył, ale domyśliłam się, że należy z nich korzystać, chociaż z początku nie chciałam. Spacerowało się w takim prostokątnym korytku.

Pilnowała jedna oddziałowa. Chodziło się naokoło. Wszędzie był mur, nic nie było widać. Chodził am w kocu. Sama.

O kontakcie z domem nie było w ogóle mowy! Gdzie tam! Prosiłam śledczego, ale powiedział, że przyjdzie na to czas. Kiedy napalili mogłam sobie wyprać bieliznę. Przecież byłam w jednej zmianie! Można sobie wyobrazić, jak ta bielizna wyglądała. Wieszkałam ją na piecu na zapałkach. Zapałki dostawałam od oddziałowej do zapalania papierosów. Wtykałam te zapałki w piec i na nich wieszkałam - między kafelkami. Rano już było suche. Owszem prowadzili do kąpieli, do łaźni - prysznic, ale ja byłam sama i prowadzili mnie zawsze na końcu. I zawsze miałam letnią wodę, co akuratnie starczyło na umycie włosów i spłukanie się.

Na Gwiazdkę dostałam prezent - pierwsze Boże Narodzenie spędzałam na Rakowieckiej. Święta tu niczym się nie odróżniały od normalnych dni. Lepszego jedzenia też nie było. W dzień Wigilii ktoś do mojej celi kopnął malutką paczuszkę. Były to zawinięte w gazecie majteczki. Bardzo się ucieszyłam, miałam już bieliznę na zmianę. Nie wiem, kto mi ten prezent zrobił. Domyślałam się, że może któraś z oddziałowych.

Starałam się nie myśleć, że to są święta. Może to mi pomogło się nie załamać. Bo to był moment łatwego załamania. Ale ja wiedziałam, że jak się załamię, to już koniec. Więc świadomie wmówiłam sobie, że jest to normalny dzień. Zresztą i tak trudno mi było odróżnić poniedziałek od wtorku. Dopiero potem nauczyłam się liczyć na palcach no i te kreski na ścianie.

Nie miałam żadnego kontaktu z więźniami. Nigdzie. Ani na korytarzu, ani na spacerniku. Jak mnie wypuszczali z celi, wszystkie cele były zamknięte. Przez cały czas na Rakowieckiej nie spotkałam ani jednego więźnia. Tylko kroki. Nauczyłam się później rozróżniać kroki - to kobieta, to mężczyzna, to więzień,

to klawisz.

Było jednak kilka grypsów. Gryps o buncie dostałam przez oddziałową. Dając mi chleb, przetrzymała go, tak że wyczułam jakąś kartkę pod spodem. Nie wiem jak się nazywała, nigdy się do mnie nie uśmiechnęła. Przypuszczam, że te majteczki też były od niej, ale głosu też na mnie nie podniosła. Była bardzo służbowa. Tylko tyle.

Gdy pierwszy raz dostałam gryps, psychicznie bardzo dobrze się poczułam. Były w nim tylko trzy słowa: - "Nie daj się." Ale dla mnie tak ważne, że miałam go przy sobie przez cały czas więzienia. Przeniosłam go w bucie. To mnie podtrzymywało na duchu. Jak po przesłuchaniu jakoś nie bardzo się czułam, czytałam ten gryps. Potem trudno go było nawet odczytać, był napisany ołówkiem i ołówek przez to otwieranie, zamykanie się zamazał. Ale ja wiedziałam, że ktoś mi dodał otuchy. Wiedziałam tylko, że przyszedł z oddziału męskiego. Podpis brzmiał OM.

Chciałam się jakoś zrewanżować. Miałam kartki po papierosach. Papierosy były w miękkim opakowaniu. Paliłam po dwa papierosy dziennie, oszczędzałam, bo nie wiedziałam, jak długo będę siedziała. Były to ciągle papierosy zabrane z domu i kupione na drugi dzień przez śledczego. Ale nie miałam przecież ani ołówka ani niczego do pisania. Wykombinowałam tak. Spaloną zapałką napisałam W. Może domyśli się, że to znaczy "Wiem." No że mam się trzymać. Zrobiłam kuleczkę i gdy oddziałowa podawała chleb, ona dawała chleb a kalifaktorka wlewała zupę czy kawę, wsunęłam jej kuleczkę do ręki. Wzięła. Przypuszczam, że dała to "W" gdzieś tam. Później na gwiazdkę dostałam jeszcze jeden gryps, ale przypuszczam, że nie był od więźnia. Literkami wyciętymi z gazety napisane było "Trzymaj się." Może to oddziałowa zrobiła? Tamten pierwszy jednak był dla mnie najważniejszy, w pewnym sensie - talizman.

Do południa schodziło mi na przesłuchaniu i na spacerze.

Najgorsze były popołudnia. Cholernie się ciągnęły. Obiad był o 12⁰⁰ a kolacja o 18⁰⁰. W celi nic nie mogłam trzymać. Kubek, widelec, widelec dostałam po tygodniu, łyżka i to wszystko. Siennik. Przescieradło jedno, drugie, dwa koce i tak zwany zagłówek.

Wypracowałam sobie taki czas. Najpierw każdego dnia robiłam paznokciem kreskę na ścianie. Jeden dzień mam poza sobą. Od tego zaczynałam. Potem bardzo długo ścieliłam łóżko. Do śniadania. Wcześniej była pobudka, ale ja nie miałam na zewnątrz swoich rzeczy. Sukienkę pozwolono mi mieć w celi, spałam w niej. Potem oddziałowa otwierała drzwi i dostawałam litr wody. Ciepłej. Najpierw myłam twarz, ręce, potem resztę. Była to taka malutka miseczka. Cholernie ciężko się myło bez mydła i bez ręcznika. Trzeba po prostu było wyschnąć. Potem było śniadanie, po zjedzeniu spokojnie dopijałam kawę, zapalałam pierwszego papierosa. Chleb dzieliłam na trzy części - do obiadu i na kolację. Z części na kolację robiłam figurki. Płułam w to i ugniatałam. Zresztą z tego chleba było bardzo łatwo ulepić co się chciało. Ulepiłam też z niego grę, w którą sama ze sobą grałam na taborecie. Wiedziałam, że jak skończę lepić figurkę, to przyjdą po mnie na pewno na przesłuchanie. Potem był obiad. Obiad też długo jadłam. Po obiedzie siadałam na taborecie, zresztą przeważnie siedziałam na taborecie, miałam drugi taboret, miałam więc już towarzystwo, wyobrażałam sobie, że to ktoś siedzi na taborecie i rozmawiałam. Opowiadałam o swoim dzieciństwie, bzdury, sama do siebie i sama sobie opowiadałam. Tak mijała jakaś godzinka. Potem bawiłam się włosami. Robiłam sobie war-kocze, to znowu rozplatałam, wszystko rękami. Potem brałam kubek, a że nie miałam go czym czyścić, to paznokciem skrobałam. Paznokcie miałam dosyć długie - nie miałam czym obciąć. Wtedy był czas na drugiego papierosa. Bardzo wolno paliłam. Przycho-

dziła godzina 18, szum na korytarzu, ach to kolacja. Najgorzej było po kolacji. Okropnie się dłużyło do dziesiątej, dopóki oddziałowa nie zgasła światła. Apelu żadnego nie miałam, bo byłam sama. Tylko wieczorem oddziałowa otwierała drzwi do celi i spojrzała, czy wszystko w porządku.

Pewnego dnia znalazłam kapitalną rzecz. W czasie spaceru, jak to dobrze, że chodziłam na ten spacer! znalazłam kawałek cegły. Nieduży, ale dosyć ostry. Czyściłam nim podłogę. Co to była za frajda! Pierwszorządne zajęcie. Skrobałam podłogę kawałek po kawałeczku. Potem znalazłam kawałek szkła. Szklęm też się idealnie czyściło. Miałam wyświecone jak chyba nikt! Ale przez ten rok całej celi nie zdażyłam zrobić. To była bardzo duża cela. Na pewno miała 16 m². O ile nie więcej. Jak robiłam ho! ho! to echo szło. Miałam jeszcze zajęcie z kibelem. Dostałam trochę proszku, zajęcie na pół dnia, ale wyczyściłam na piko belo. Najgorzej było z wodą. Później przynosiłam sobie garnuszek wody z kąpieli. Jakoś nikt mi nic nie mówił, że szłam z wodą.

Wieczorem też dostawałam litr wody, ale zimnej. Prześciera-
dka były wymieniane przy kąpieli.

Jak raz się poszłam kąpać, to oprócz stałej więźniarki, która miała pod opieką krany i prysznic, była jeszcze jedna więźniarka, młoda. I jak mnie zobaczyła, krzyknęła: - "Jej! No witaj! Witaj!" Myślę sobie, przecież ja jej w ogóle nie znam. I w tym momencie gdy mi zarzuciła ręce na szyi, to mi wsunęła pod sukienkę kawałek chleba. Z tyłu. Ale oddziałowa już była, co za ściskanie. Nie wolno nam było rozmawiać. Oddziałowa bardzo tego pilnowała.

Kawałek chleba zamoczył się pod prysznicem, ale mnie to wcale nie zraziło. To był biały chleb - świętość nie z tej zie-

mi. Tylko raz mi się tak udało.

Posiłki dostawałam w progu celi, nie wolno było wchodzić, Oddziałowa też nie weszła do celi, tylko w progu. Otwierała drzwi i zaraz stał kocioł, kalifaktorka nalewała, podawała i koniec.

Jedzenie na Rakowieckiej było obrzydliwe. Chleb - jedna glina, kawa wiadomo - zbożowa, gorzka, na obiad jakaś polewka, na kolację też polewka, czarna kawa. Chleb musiał starczyć na cały dzień. Cwiartka chleba kilogramowego. Więźniowie byli strasznie głodni, wypisek żadnych nie było, bo śledcze. I więźniowie zrobili bunt.

P Przeszedł do mnie gryps, że jak słońce będzie mniej więcej w tym i tym miejscu i jak usłyszę szuranie nogami, mam wyrzucić wszystko co mam w celi. Przez okno. Trzeba było się wdrapać na prycę, była też prycza, i wyrzucić widelce, łyżkę i siennik. Siennika nie dałam rady, byłam osłabiona, nie mogłam go przepchać. Trochę tylko słomy przepchałam. Ale podobno na dole strasznie wyglądało. Słyszałam jak leciały kubeczki, widelce, łyżki. I nikt nie jadł. Przyjechał prokurator i zrobił porządek. Okazało się, że były jakieś złodziejstwa. Zaczęliśmy dostawać trochę lepsze jedzenie. Najlepsze miały pracujące, ale w śledztwie nikt nie pracował. Bunt trwał jeden dzień, było to zaraz po gwiazdce.

A ze "Słoneczkiem" było tak. Mścił się na wszystkich więźniach politycznych, było ich wtedy bardzo dużo, szczególnie na oddziale męskim. Wiem to na sto procent. Jak wyprowadzał więźniów na spacer, jednego sobie upatrzył i wpuszczając z powrotem do celi, chwycił z tyłu za kark albo za rękę. Chwycił za rękę tak umiejętnie, że od razu pękała kość. Albo podkładał nogę tak, że więzień od razu leciał ze schodów, a schody były bardzo strome. Dobrze jak więzień się tylko potłukł, bywało że miał złamane żebra. Więźniowie po prostu mieli go dosyć.

Każdy oddziałowy, który miał dyżur w kuchni był zobowiązany do próbowania kawy, obiadu i kolacji. Kuchnia była cała wyłożona kafelkami. Przy gotowaniu więźniowie byli i myli te kafelki. Wylewali wodę i zbierali szmata. Jedzenie gotowało się pod ciśnieniem w olbrzymich kotłach elektrycznych ze specjalnymi pokrywami. Żeby spróbować, trzeba było wejść na schodki, dość wysokie. Wchodził na schodki, chochlą wybierał, nalewał na łyżkę i próbował. Takie były zwyczaje. I właśnie "Słoneczko" wszedł na schodki i jakimś cudem te schodki, prawdopodobnie dlatego, że była mokra podłoga, poślizgnęły się, on zanadto się przechylił, wleciał do kotła i się ugotował. Radość więźniów była ogromna. Kto to zrobił, nie wiadomo. Przesłuchiowano czterech więźniów, ale w końcu po prostu stwierdzono nieszczęśliwy wypadek.

My natomiast znowu urządziliśmy głodówkę - nie chcieliśmy jeść z tego kotła. Nie było już grypsu, tylko ktoś z góry wrzasnął: - "Głodówka! Zdechł "Słoneczko"." W ten sposób dowiedziałam się, że coś się stało ze "Słoneczkiem". O całej tej historii usłyszałam dokładnie dopiero w innym więzieniu. Tu wiedziałam tylko, że zdechł. Zaczęły zjeżdżać samochody z prokuratorami, były przesłuchania najrozmaitsze. Ale nikogo nie oskarżyli, nikt nikogo nie wydał. Przyszedł specjalista na miejsce wypadku i stwierdził, że schodki mogły się poślizgnąć, ze względu na to, że podłoga nie była odpowiednio wytarta. Więźniowie, którzy byli w kuchni, byli więc ukarani za niedbałość, za nieodpowiednie wytarcie podłogi. Dostali tylko upomnienie, czy naganą. Wiem, że wypadek ten zdarzył się już po Bożym Narodzeniu. Rok 1957 na 1958.

Wtedy jakby trochę poluzowało. Przedtem słyszałam ciągle wrzaski. Albo więźniów, albo oddziałowych. Później się jakby wyciszyło.

Zabrali mnie z Rakowieckiej. Nie wiedziałam gdzie jadę. Sledztwo miałam równe dwa lata. Sledczy mi również nie mówił o tym przeniesieniu. Pożegnał się ze mną jak zwykle. Rano przyszła oddziałowa: - "Proszę się zbierać." - "Czy idę na wolność?" - "Proszę się zbierać." Co się miałam zbierać?! Jak stałam, tak wyszłam z celi. Zaprowadziła mnie na dół, przeszliśmy przez podwórko, otworzyli bramę i stał samochód. Znowu trzy samochody. I przewieźli mnie na Toledo. Były to samochody cywilne, ople esbeckie. Zawieźli mnie na Toledo, czyli na ulicę Ratuszową.

Więzienie to w przeciwieństwie do Rakowieckiej było jedno-piętrowe. Murowane baraki w kształcie toleda, stąd nazwa. Nie stały prosto, tylko w rozmaity sposób zakręcały, zupełnie jakby ktoś wyszywał toledo.

Tam już miałam większą swobodę. Cella mniejsza, z piecem, ale tam palono, tak, że w celi było ciepło. Cella była bardzo czysta, też cement, ale bardzo czysty. Nadał siedziałam sama. Też była przypinana prycza, dwa taborety, mały stoliczek, szafki i piec. Ale posiadać nie mogłam nic.

Na parterze okna były okratowane, na piętrze, gdzie była moja cela na oknach były blindy z deseczek, dosłownie deseczki w poprzek okna, jedna przy drugiej a u góry troszkę wolnego. Okno było cały czas uchylone, ale to nie przeszkadzało, miałam przynajmniej trochę świeżego powietrza. Do okna nie miałam dostępu, nawet jak stanęłam na pryczy, nie mogłam dosięgnąć. Tylko niebo widziałam. Widziałam gwiazdy. Na spacerze czasami dostrzegłam jakąś trawkę. Normalnie wszystko było wylane betonem.

Spacerzy miałam dwudziestominutowe. Też w korytku, ale murek był niższy. Nie widziałam przez murek nic, ale sprawiał już przyjemniejsze wrażenie. Tam było wesoło. Siedziały rozmaite

prostytutki i oddziałowe były jakieś inne. Szczególnie dowódca oddziału, kobieta bardzo ostra i sroga, ale zależy dla kogo. Wiem, że miała na imię Kazia. Nie zapomnę jej tego, co dla mnie zrobiła. Co drugą, trzecią noc wpuszczali mi więźniarkę, Jolę, córkę lekarza. Całą noc gadałyśmy. A to mi kawały opowiadała, rozmaite bzdury, ale ja chętnie słuchałam, bo przynajmniej jakiś ludzki głos. Była u mnie do rana.

Poza tym słyszałam rozmowy - więźniarki siedziały w oknach i krzyczały za mury: - "Panie, która godzina?!" albo: "Ty tam, co jesteś na dachu zejź, bo cię szlag trafi!" Takie wieczorne pogaduszki, przynajmniej słyszałam już wyraźnie głosy ludzki. Słyszałam, jak tramwaje jeździły.

Nie było też takiego ostrego rygoru. Już oddziałowa na przykład zapytała, czy czegoś nie potrzebuje. Myślę sobie, co ja mogę potrzebowa-. Powiedziała mi, że sukienka mi się trochę pruje, może igłę z nitką bym potrzebowała. Oj, tak! Dostałam igłę z nitką, to już był majątek! Potem podrzuciła mi jedną pończochę i trochę nici z igłą, wtedy mogłam sobie cerować. To w ogóle komfort! W życiu tak nie cerowałam, jak wtedy. Jedną nitką, żemy mi starczyło na dłużej, /oczywiście pończocha była oddziałowej/. To mi dawała znowu kłębuszek wełny, coś robiłam z wełny palcami, to znowu prućam, to znowu zwijałam. I zawsze czekałam na noc. Może znowu mi Jolę wpuści.

O książki prosiłam, ale nigdy nie dostałam. Nie mówili nie, lae nie dostałam. Prosiłam władze więzienne. Na Toledzie była biblioteka - Jola mi powiedziała. Nic mi tam nie dawano. Kiedy śleuczy zapytał mnie podchwytliwie, co czytałam ostatnio: - "Nic nie czytałam." - "Jak to nic, przecież jest biblioteka." - "Widać nie dla wszystkich." Nie komentował. Innym razem spróbował inaczej: - "Ta sukienka na pewno się pani kiedyś rozwalila, wzięła pani igłę i zeszyła pani?" - "A skąd miałam wziąć?" - "A nie dali pani? Ciekawe, że się nie rozpruła." - "Dlaczego

się miała rozpruć, jak ja przeważnie siedzę." Przecież nie będę mówiła, że mam igłę z nitką. Nie mogłam wsypać nikogo.

W Toledzie spędzałam drugą Gwiazdkę. Dostałam od dowódcy paczkę. Nie była duża, ale z czekoladą i co najważniejsze, kawałeczkiem gałązki świerku. Miałam choinkę! Wsadziłam gałązkę w chleb i była choinka! Miałam jeszcze wełnę i ustroiłam sobie choinkę. Byłam cała szczęśliwa, że mam choinkę w celi. Właśnie tego jej nie zapomnę - pomyślała, że to moje Boże Narodzenie jest bardzo smutne. Jola nie mogła przyjść, widocznie nie mogli puszczać. Miałam jeszcze kawałek opłatka, kawałek kiełbasy i kawałek domowego ciasta, wszystkiego po kawałeczku, ale dla mnie - niesamowity skarb. W dodatku był jeszcze paier i kawałeczek ołówka. Paczka zawinięta była w papier. Mogłam rysować, pisać. Oczywiście nogą była wsunięta do celi. Nie widziałam kto ją wsunął.

Na Toledzie byłam niecały rok. Potem przewieźli mnie do więzienia w Bydgoszczy na Wałach Hetmańskich. Tam minęły mi dwa lata pobytu w więzieniach. Było to małe więzienie, przeważnie oddziały męskie, męskie śledcze.

Tutaj też byłam sama w celi. Więzienie prawdopodobnie było przerobione z klasztoru. Moja cela miała łuki na suficie. Cela była czysta, wybielona, jeden stolik, zamiast pryczy - łóżko, żelazne, ale ani przychepione, ani chowane, po prostu stało. Oczywiście nie wolno się było na nim kłaść. Zagłówek, siennik, dwa prześcieradła, jednym słowem wyposażenie normalne.

Jedzenie w Bydgoszczy było lepsze, przede wszystkim słodka kawa. Rano dostawałam dwa litry wody, nie litr, Litr ciepłej i litr zimnej. Tak samo wieczorem.

Tu już miałam lepszy kontakt z więźniami. Przedewszystkim kaloryfery - moi poprzednicy porobili dziurki w rurkach od kal

kaloryfera i jak się przyłożyło nasz metalowy kubek, to świetnie było słycać, co kto mówi. Kapitalny telefon. Kubkiem się słuchało, a mówiło się do tej rurki. O całym tym mechanizmie dowiedziałam się z grypsu. Na stukania, które zapraszały do rozmowy wcześniej nie reagowałam, nie znałam alfabetu Morse'a a myślałam, że to o to chodzi. Potem już było: - "Halo, słyszysz mnie?" - "Słyszę." - "Co u ciebie słycać?" - "Wszystko w porządku." - "Kiedy rozprawa?" - "Nie wiem." Rozmawialiśmy zawsze po 22⁰⁰. Nigdy nie padało pytanie za co siedzisz. To był temat tabu. Te rozmowy były bardzo potrzebne. Słyszałam znowu głos ludzki, ale taki głos mój, czyli więźnia a nie oddziałowej. - "Co potrzeba?", "Do widzenia". "Dobranoc". "Dzień dobry". Tam był głos, głos normalny.

Te rozmowy przez kaloryfery były dla mnie bardzo ważne. Jakoś mnie podtrzymywały. Były taką więzienną pomocą. Mówili mi na przykład, żebym uważała, jak mi kogoś do celi wpuszczą, bo to na pewno będzie kapuś. Po prostu mnie uczyli. Odniosłam wrażenie, że byli to doświadczeni więźniowie. Nikt nie mówił, jak długo siedzi, tylko kiedy kto wyjdzie. Interesowali się moja sprawą. O samą sprawę nie pytali, tylko otoczka. Czy przy drz drzwiach otwartych, czy zamkniętych. Czy było fajnie na sprawie, jaki wyrok, czy bardzo najeżdżali. Czy było dużo ławników. Wiedzieli co to jest sąd wojskowy, wiedzieli, że to coś innego niż cywilny. Żyli po prostu w tym momencie moim życiem. A mnie to w psychicznym sensie pomagało - czułam, że ktoś jednak się mną interesuje i chce mi pomóc.

W Bydgoszczy byłam bardzo krótko, góra dwa tygodnie. Stamtąd wyjechałam z wyrokiem, na drugi dzień po zakończeniu rozprawy.

Najpierw byłam 24 godziny w Szczecinie. Potem wywieźli mnie do Szczecina Dąbia. Tam siedziałam tydzień. Ze Szczecina Dąbia przewieźli mnie na Rakowiecką do Warszawy, tam siedziałam dwa

miesiące. Po dwóch miesiącach przewieźli mnie na Toledo, na Ratuszowa. Tam siedziałam rok. Z Ratuszowej mnie wywieźli do Bydgoszczy, na Wały Chrobrego. I tam siedziałam do rozprawy.

Najgorzej, że nie miałam w czym iść na tę rozprawę. Miałam tylko jedną sukienkę, w której chodziłam dwa lata. Z krótkim rękawem. I kaptyną za fajną też nie była. Nie mówiąc o twarzy. Jedna z oddziałowych pożyczyła mi futerko, założyłam je na sukienkę. Nie pozwolili mi go zdjąć. Od razu chciałam to zrobić, że niby gorąco. Nie, nie. Wstydzili się tej sukienki. Była tragiczna. Nie prana przez dwa lata. Jak miałam pracować? W czym zostać? Nie dali mi żadnego innego ubioru, bo byłam w śledztwie. Nie było innej rady. Cela była nieopalana, więc nie miałam gdzie wysuszyć. W lecie gdzie? Na oknie nie dało rady. I wody nie było.

Moja matka ani razu w czasie śledztwa nie miała ze mną widzenia, żadnego listu. Znalazła jednak obrońcę wojskowego "doskonałego" - tak o sobie mówił - Szwarz-Bronikowskiego. W ogóle się ze mną nie kontaktował w czasie śledztwa, twierdząc, tak mówiła moja matka, że doskonale zna moje akta i doskonale wie, jaką linię obrony obrać, żeby sprawę przesunąć z sądu wojskowego, do sądu cywilnego. To by mnie uratowało i gdybym miała dobrego adwokata wyszłabym cało.

Ponieważ złapali mnie w Szczecinie, podlegałam pod Pomorską Prokuraturę Wojskową. Rozprawa odbyła się w Bydgoszczy, której przewodniczył sędzia wojskowy, mogę dać głowę - radziecki. Bardzo źle mówił po polsku i z akcentem rosyjskim. Siwiuteńki jak gołąb starszy pan.

Dali mi oczywiście do przeczytania akt oskarżenia. Na sali rozpraw byli ławnicy, był mój prokurator Chomętowski, już w stopniu pułkownika, na mnie zarobił gwiazdkę. Rozprawa odbywała

się przy drzwiach zamkniętych. Byłam tylko ja jedna i cały szereg żandarmerii, sześciu chłopaków, którzy mi ciągle mówili, żebym się nie dała.

Adwokat pojawił się na procesie, w pięknej todze, wyświeżony, wypomadowane włosy, bardzo elegancki pan. K

Kiedy dostałam głos, powiedziałam tak: - "W czasie śledztwa major Chomęt^kowski, teraz w randze pułkownika, powiedział do mnie słowo kurwa. Zdenerwował się, bo w czasie przesłuchiwania nie chciałam odpowiadać. Dwa razy to powtórzył. Taki epitet do więźnia politycznego. Proszę o zaprotokółowanie. Czy wysoki sąd zaprotokółował? Proszę o głośne i wyraźne odczytanie." I protokółant, na polecenie sędziego, przeczytał głośno. Pa Chomętowski odpowiednio na mnie spojrział. I dobrze to sobie zapamiętał. Ale ja mu obiecałam wtedy na przesłuchaniu, że to wykorzystam. I wykorzystałam - "Ale nie bili oskarżonej?" - "Nieeee." Nikt mnie nie uderzył".

Potem głos miała obrona i wtedy pan Szwarz-Eronikowski powiedział, że bardzo jest mu przykro występować w tej sprawie jako obrońca, bo on jest członkiem partii, prawdziwym Polakiem, a tu taka nieprzyjemna sprawa. Jednak zawód nakazuje mu bronić oskarżonej. Wtedy nie wytrzymałam nerwowo i oznajmiłam, że w ogóle nie będę zeznawała i dziękuję za wszystko, a przede wszystkim za pana obrońcę, z którego nie skorzystam. I proszę, żeby Wysoki Sąd usunął tego pana z sali. Musiałam to takim tonem powiedzieć, że sędzia zapomniał, że jest sędzią i powiedział: - "Moje dziecko, a co my teraz zrobimy?" - "Będę sama dla siebie obrońcą." I poprosiłam o przerwę w rozprawie. Odroczyli rozprawę na dwa tygodnie. Sędzia polecił adwokatowi zostać, chciał z nim rozmawiać. Adwokat wziął oczywiście od matki bardzo dużo pieniędzy /matka sprzedała pierścionek/. Ja zresztą powie-

działam tam w sądzie, że pieniądze wziął bez skrupułów, a teraz jakieś skrupuły. I on na polecenie sędziego zwrócił matce wszystkie pieniądze.

Wtedy pierwszy raz dostałam zgodę na ołówek i na potrzebne książki. Każdego dnia rano dowódca pytał mnie, co potrzebuję. Tylko ja nie wiedziałam, co potrzebuję. Ale na szczęście - miałam dużo szczęścia - w "moim" więzieniu zamknięty był za jakieś malwersacje prokurator. Odstukali mi przez kaloryfary za co siedzi i że chce mieć ze mną kontakt. Podpowiadał mi przez oddziałowego, który nam nosił grypsy, jaki kodeks powinna wziąć, co powinnam przeczytać, tak mniej więcej. Do dwóch tygodniach byłam mniej więcej przygotowana.

Odbyła się rozprawa bez obrońcy. Starłam się jakoś wybronić uzasadniając tym, że sprawa była bardziej poszlakowa niż dowodowa. Tak mnie prokurator nakierował - największy nacisk mam kłaść na poszlaki. Przedstawionych dowodów się nie wyparłam. Nie wyparłam się tego, że zmieniłam charakter pisma, pisząc swój życiorys przy przyjęciu do pracy. Jaki był cel, to moja sprawa. Może kaprys, może fantazja. Ot po prostu. Przyznałam się do tego, że byłam w AK, że nie ujawniłam się. Były na to dowody. Były na to dowody, że walczyłam z władzą polską i radziecką. Były dowody. Niezbite. Sama powiedziałam, że będę walczyła. Ale oni innych, poza tym moim stwierdzeniem, dowodów nie mieli, żeby tak czarno na białym. To że przewoziłam tego faceta? To żaden dowód. Przypadek zrzędził, że razem siedzieliśmy w jednym przedziale. Konduktor zaprowadził mnie tam, bo mu się podobałam i chciał po prostu, żebym miała wygodną podróż. A ja zrewanżowałam się pudełkiem papierosów, bardzo dobrych zresztą. A że ktoś tam siedział? Co mnie to obchodzi. Że miał fałszywy paszport? Nie ja byłam od tego. - "Ale oskarżona w ten sposób zadziałała sama na swoją szkodę." To już trudno. Przypadek,

los.

Oni tę moją podróż znali i znali nie ode mnie. O aptecę również mówili, ale króciutko. Bo tu już w ogóle nie było żadnych dowodów. To że tłumaczyłam listy? Sama powiedziałam, że tłumaczyłam listy, nie raz jeszcze, nie dwa i nie dziesięć. Dużo korespondencji przychodziło do moich znajomych i w języku niemieckim, i francuskim - zawsze tłumaczyłam. Cóż w tym złego. - "Ale to były dziwne listy." Dla mnie nie były dziwne. Pytające o zdrowie, o rodzinę, jak się wiedzie. - "Ale tam były imiona." A co to, ludzie imion nie mają? Oni te tłumaczenia podawali jako dowód, ja się upierałam, że to żaden dowód. - "Robię tu tylko jeden gład - mówiłam - nie potrafię sama wybronić się z sądu wojkowego na sąd cywilny, a ta sprawa nadaje się do sądu cywilnego, a nie wojkowego. Nie potrafię." Starczało mi mówić bardzo syntetycznie, krótko, żeby się z czymś nie wygadać. Tylko na to czekali.

Czyli winna byłam tego, że tłumaczyłam listy, że jechałam w jednym przedziale z tym panem...

Skazano mnie. W pierwszym wyroku dostałam 15 lat. Skrzynka kontaktowa, nieujawnienie się, przewóz podejrzanego. Do czegokolwiek się przyznałam, odpowiednio to formułowali, by móc to podciągnąć pod piątkę. Miałam art. 2 i 5. Art. 2 był o nieujawnianiu się. W sumie siedziałam 4 lata. wyszłam na zwolnienie warunkowe. I wtedy zaczęła się tragedia numer dwa. To było gorsze niż moje aresztowanie. O wiele, wiele gorsze.

Zostałam zwolniona 28 października. Ja nie występowałam o zwolnienie przedterminowe - są takie prawa więźniów politycznych, że więzień polityczny o nic nie prosi, o nic nie zabiega, wykonuje wszystkie polecenia, jakie mu dają władze więzienne. Dostałam to w grypsie, nauczyłam się tego na pamięć i tego przes-

Janusz Ostrowski

trzęgałam. Dlatego nie prosiłam o nic, ani o żadne widzenia, dłuższe, krótsze, nic. Sami dawali. Jeżeli dawali sami, prajimowałam, nie odrzucałam.

Już jak byłam w Fordonie, zawołał mnie naczelnik więzienia i powiedział, że połowa kary już jest odbyta i w związku z tym proponuje, bym napisała do sądu wojskowego do Bydgoszczy z prośbą o przedterminowe zwolnienie. Odpowiedziałam, że ^abyrdzo panu dziękuję za pamięć i zaznajomienie się z moimi aktami, ale ja pisać nie będę. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. wobec tego wydał penitencjarny napisze. I rzeczywiście wysłali. Prośba została przyjęta i prokurator zapowiedział przyjazd na 28 października, by na miejscu rozpatrzyć prośbę. Byłam święcie przekonana, że przyjedzie ^oChomętkowski, bo taki był zwyczaj - takie prośby rozpatrywał ten prokurator, który był w czasie rozprawy, ^{to}dlatego że znał całą sprawę. Wiedziałam, że za tą k... odkuje się. Byłam przygotowana na odrzucenie wniosku. Trzyszła oddziałowa, ^{pojedynczo} mówi, że sąd już przyjechał, - proszę iść. Oczywiście cisza w całym więzieniu śmiertelna. Nina idzie na rozprawę. Poszłam i zatkało mnie. ^{Przyjechał} ~~szale~~nie Chomętkowski, tylko jakiś o sympatycznej twarzy major. Nie wiem, jak się nazywał. Pułkownik Chomętkowski dostał podobno wysokiej temperatury i nie mógł przyjechać. Przekazał akta majorowi. Major odpytał mnie, czy będę dalej pracować ^{ła}w konspiracji. - "A gdzie by pani mieszkała?" ~~Nxxxxxxx~~ - "U swojej matki." - "U matki? A ^{krechy}widziała się pani ~~kiedy~~ ostatni raz z matką?" - "A niedawno, na widzeniu." - "Acha. Niech pani opuści pokój." ^WNyszłam.

Byłam ² tak przygotowana ¹psychicznie na odmowę, że było mi wszystko jedno. ^{Przede}Orzekli zwolnienie warunkowe. Podeszedł do mnie naczelnik: + "Pani Nino, muszę ^{teraz do}(mówić) (pani ~~teraz~~ "pani, nie jest już pani więźniarką, jest pani kobietą wolną." Czy oni kpią, żartują? - przez ułamki sekundy tak sobie pomyślałam. Zaczęłam się strasznie trząść, okropnie to przeżyłam. W końcu powiedzia-

łam, chcę tylko do matki. - "Ale co my teraz z panią zrobimy,
jest godzina 17.00, za późno na zakatwienie dzisiaj formalności."
^{zapamiętano} (zebym mogła do rana ^{po} zostać w więzieniu, ^{bo} naczelnik ^{musiał} na miejscu
musiał napisać prośbę do prokuratora.

Wyszłam na dziedziniec forgoński, a we wszystkich oknach
białe chusteczki. Już dziewczyny wiedziały, że jestem wolna.
Momentalnie się ^z tam wszystko ^z rozchodzi. Prędzej one wiedziały
niż ja. Jestem ^{e tym} przekonana.

Weszłam do celi. Nie mogą zamykać celi, bo przecież jestem
wolnościowa - więc cęla ^{pozostaje} otwarta. Miałam resztki z paczki, dziew-
czyny też dały swoje. Obrus czyli przescieradko na stół i w tym
momencie wszedł prokurator. No, cieszy się pani, teraz już wi-
^{dzi} że inaczej już pani wygląda.

O 8 rano, najpierw lekarz, musiałam podpisać, że żadnych
chorób się nie nabawiłam ^{nie} w więzieniu, ani nikt mnie nie bił,
ⁱ że zęby ^{moje} itd., to wszystko musiało być dokładnie opisane.
Założyłam moja sukienkę, głupia sytuacja, ale była dosyć znośna
pogoda. Zrobiłam sobie warkocz. Dostałam swój koszyczek, a w
tym koszyczku nic. Pieniądze dostałam do ręki. Brama otwarta.
Wszystkie wrzeszczały, nie oglądaj się!

Jak wyszłam na ulicę ^{tu} nie wiedziałam co mam ze sobą zrobić.
Przede wszystkim straszny huk - przejechał samochód. I odle-
głość między bramą więzienną a kościołem, kościół stał zaraz
na przeciwko, obok był sklep. Wydawało mi się, że nigdy tego
nie przejdę. Nigdy. I stałam skamieniała. Na to wszedł ksiądz.
Ksiądz mieli ~~te~~ dyżury, i uważali na wychodzące więźniarki, że-
by im pomóc. Ksiądz do mnie podszedł i ^{powiedział} mówi: † "Nie bój się,
ja cię przeprowadzę. I co, na pewno paczka do więzienia."
- "Tak." Nie wiedziałam jak z tymi pieniędzmi, więc ksiądz
wszystko popłacił, powiedział, jaka powinna być paczka, jak
zapakowana, zresztą w sklepie też wiedzieli - każda, która wy-
chodziła, ^{w tym sklepie} ² ¹ ~~z~~ kupowała i paczkę podawała. Ksiądz powiedział:

- "Nie, ty nie podasz, ja podam."

Zapytał, gdzie chce jechać. Dó loznania. ^{do} do matki. Trzeba dostać się do Bydgoszczy. Czy nie ^{sis} ~~poję~~ ^{jechać} się autobusem. Niee, na pewno jakoś dojadę. Dojechałam, choć zaczęło mi się robić niedobrze. Wsiadłam. i akuratnie autobus stanął przy postoju taksówek. Pomyślałam, teraz sobie dogodzę. Poprosiłam taksówkarza, żeby mnie zawiózł do najlepszej restauracji w Bydgoszczy.

^{do} Orbisu Zafundowałam sobie to, o czym marzyłam: zupę pomidorowa. ^{Bundzo} Strasznie mi smakowała, ^{poprosiłam o} to jeszcze jedną. A miałam w kopercie ^{2 listy me} napisane, jak się mam zachowywać, po wyjściu ^{z listy me} chodziło o dietę. Koperta leżała na dnie koszyka, ~~tylko ta koperta leżała~~ i nic mnie nie obchodziła. Po drugiej zupie - kotlet schabowy. Jezuu, jak mi się niedobrze zrobiło...! Szybko do WC-tu, wiadomo jaki był efekt.

Znowu w taksówkę i na dworzec. Akurat miałam pociąg do Poznania. W przedziale nikogo nie było. Zaczęłam sobie przypominać, jak jechałam do Francji. ^{Do przedziału} ~~Wszedł pan, siedział i tak mi się to skojarzyło.~~ Spojrzak na mnie: - "Czy pani czasem z "wczasów" nie wraca?" - "Z wczasów." - "To trzeba się napić kawy, ~~mówi~~ przede wszystkim kawy i to gorzkiej." Bardzo ładnie to powieściak ~~dział.~~ Przecież wiedział, o co chodzi. Widzi długiwłosą sukieneczkę ^e z krótkim rękawem o tej porze, w październiku - ciemnawo i zimnawo. Poszedł do restauracyjnego i przyniósł mi kawę. Więcej o nic nie pytał.

Wsiadłam na dworcu w Poznaniu, ciemno jak diabli. ^{We pamięci} ~~Wiedziałam~~ mam numer telefonu ~~na pamięć.~~ Ale zadzwonić z automatu nie umiałam - po prostu nigdy nie widziałam automatu takiego, jaki ~~tam był.~~ Tu podnieś słuchawkę, ^{znów} tamto i poza tym byłam taka ogłupiała, ^{Pomyłka} ~~wyśle~~ sobie, co ja mam podnosić ^{z pamięci} zepsuty. Tak cho-

dziłam do czterech automatów i oczywiście nie zadzwoniła. Ale milicja mnie obserwowała, ^{chcieli by u krsbd-} ~~by~~ dziwny strój. Podszedł milicjant i muszę powiedzieć, że był na prawdę w porządku. I też zapytał ^{Mnie} ~~mi się~~, czy z "wczasów" wracam. Zaprowadziłi mnie na ^z ~~na~~ ^{chome na} (Komendę na dworcu, tam zaczekałam i przyjechała taksówka. Nie żaden milicyjny wóz. I milicjant po cywilnemu: "Ja panią zawiozę." Jak przyjechałam, mama myślała, że to duch. I dopiero po kieliszku czystej wódki, obie przyszłyśmy do siebie.

Ale zaczęła się tragedia. Nie potrafiłam spać na tapczanie. ~~Jak się~~ ^{nie było} ~~położyłam~~, (niedobrze. Jezus, Maria, - nie do wytrzymania. Mamo, ja się boję. Boję się być sama w pokoju. Mama ^{Zapytała} ~~mi~~: - "A co ty masz za kopertę w koszyczku? Teraz wszystko rozumiem. kładź się na podłodze." Dała mi jasieczek, położyłam się na podłodze, ⁱ zupełnie inaczej się czułam. Tak samo twardo, jak w więzieniu. Mama zgasiła światło, ja w krzyk. - "Czego ty się boisz?" - "Zapał mi lampę, albo przychodź i przyświecaj, i zamknij drzwi." Mimo że mam klaustrofobię, później się dopiero ujawniła. Mama zapaliła małą lampkę nocną, ^{i postanić} ~~dała~~ za biurkiem ~~to był duży pokój~~. Ciągłe to światło widziałam. Ale o normalnym spaniu mowy nie było. Ciągłe nasłuchiwałam, czy już idą, czy nie idą. Przynwyczajona byłam do ruchu na korytarzu, że odziałowa przychodzi, trzaski ^o gaszeniu światła, prześwietlenia celi.

Potem mama prześwietlała pokój. Wchodziła, otwierała z klucza, ^{dmu} ~~ciach~~, ciach. I jak to słyszałam, ⁱ zasypiałam. ~~I w~~ ogóle nie chciałam wyjść z pokoju. Mamy mąż zdecydował, że będę osiem godzin zamknięta w pokoju, gdy on będzie w pracy, a po ośmiu godzinach ⁺ będzie przychodził i rozmawiał ze mną. ~~I~~ Przychodził, rozmawiał, jadł ze mną obiad. Miałam specjalną dietę - Mama

dojidrumie

wczytała z ~~tej~~ kartki, co należało podawać ~~jak należało~~ podawać, mało tłuszczu, trochę soli, przeważnie kleiki, dopóki się nie przyzwyczaję, bo mogę spuchnąć i umrzeć. I jak najmniej powietrza. - Stopniowo.

Ale z pokoju nie mogli mnie wyciągnąć. Przychodzenie męża mamy nie nie pomagało. Napisał do swojego siostrzeńca, do Gdańska, który jest anesteziologiem. Usłyszałam tylko, że ktoś przyjechał ^z ~~Wszedł~~. Zachowywał się tak, jakby mnie w ogóle nie było. Stał ^{pod} ~~pod~~ piecem i zaczął opowiadać sam do siebie o swoim dzieciństwie, jak skończył studia, jakie miał trudności, takie bzdury. Ja tego z ^{pr} ~~przyjemnością~~ ² ~~stuchalam~~. I ¹ ~~powiedział~~, jeżeli ktoś jest tutaj w pokoju, to mi się odwzajemni. I zaczęłam mu wszystko opowiadać. I ~~to~~ ^{to} mi było potrzebne. Zaczęłam mówić o pobycie w więzieniu. - I tak rozmawialiśmy do rana. Rano wziął mnie za rękę: - "Teraz wyjdziemy." Wyszłam z nim. Zrobiłam ten krok, przekroczyłam próg. To był listopad. ² ~~2~~ ³ ~~albo 3~~ listopada ~~przekroczyłam~~ ^{popiero} ~~przekroczyłam~~ próg pokoju.

Piątego grudnia ^{rozpoetya} ~~zaczęła~~ się nowa tragedia. Przeszło pismo z Warszawy, z generalnej prokuratury, że 6 grudnia ^{od} ~~będzie~~ ¹⁵ ~~rozprawa~~. Na szczęście listonosz przyszedł rano. Generalna prokuratura nie wyrażała zgody na ^{porozumienie} ~~utrzymanie~~ mnie na wolności, tak jak zdecydował pomorski sąd ~~wojenny~~ ~~wojskowy~~. Wynikało z tego, że ^{główni powód} ~~sp~~ z ~~powrotem~~ do więzienia.

Przyjechałyśmy do Warszawy - ~~od~~ ^{niepewność} ~~razu~~ do wuja. ~~(Było to nieprawdę,~~ że nie mógł wyjechać do Szwajcarii. ^{eliżymy nie} ~~Tamten~~ ~~mnie~~ ~~okazał.~~ ~~W~~ ~~atpie,~~ ~~żebyśmy~~ ~~dostały~~ ~~adwokata.~~

Zaczęła się gehenna. w Warszawie byliśmy około 17.00. Zespoły ^{aktywne} ~~aktywne~~ do 18.00. ^{rozpoetya} ~~Zaczęła~~ się gonitwa taksówką od zespołu do zespołu, ^u ~~nigdzie~~ ^{nie} ~~chcieli~~ ^{nie} ~~przyjąć~~ ^{nie} ~~sprawy~~. Uważali, że jest to sprawa bez precedensu. - raz orzeczone zwolnienie wa-

runkowe nie było nigdy zaprzeczone przez inny sąd. Poza tym
nie chciało pomóc
musiał to być obrońcą od spraw wojskowych a nie cywilnych. Kiedy
straciliśmy w ogóle nadzieję a byliśmy już w ostatnim zespole
sędzi jeden z adwokatów podszedł, niepozorny pan: i "Wie pani co,
może ja bym spróbował. Jestem obrońcą wojskowym." Mama się go
wzięła jak jedynej deski ratunku.

² ¹ Bardzo był antypatyczny. ^{Powidnia} mówi tak: - "Powie pani z góry,
że sprawa jest przegrana. Widzę, że pani jest nędzą, będzie
więc pani płacić w ratach, a gdyby coś się zdarzyło i wygrałaby
pani, w co wątpię, nie będzie pani płacić ^{mi} w ogóle. Taka niech
będzie ^{u mnie} umowa między nami. Niech pani przyjdzie do mnie do domu,
^{moim sędzi} za dwie godziny." Podał adres.

Mieszkanie, jak to warszawskie mieszkanie, jeden pokój
z kuchnią. Żona z małym dzieckiem ^w do kuchni, a my z mamą zosta-
liśmy w "gabinecie" pana mecenasa. Zaczął mi zadawać pytania.
Poprosił o upoważnienie, ^{gdzie} (dopiero wtedy ^{można} mógł mieć wgląd do akt
sprawy. - "Ale to i tak dla pucu, bo kiedy nam zobaczyć te akta?
Rano już nie zdążę, Musi wystarczyć to co pani mówi." Zadawał mi
pytania właściwie nie związane z moją sprawą, ^{moje} odpowiedzi
też były lakoniczne. Kiedy byłam aresztowana, kto wystąpił o
przedterminowe zwolnienie, jakie więzienia miałam ze sobą.
Spotykamy się jutro rano o ósmej. Rozprawa o 8.30 i jedna rada:
- "Dostanie pani głos. Powie pani dziękuję, nie mam nic do powie-
dzenia. Jeżeli pisnie pani jedno słowo więcej ^{te} będzie pani miała
ze mną do czynienia. A ja nie jestem przyjemnym człowiekiem."
A moja mama: e "Widziałas chana? Załuję żeśmy go wzięły." Ale
nie miałymy ^{innych} wyjścia.

Rano wyglądałam jak wymoczek. Nerwy! Dostałam kawałek chleba,
smalec, ciotka jeszcze wydobyla z lodówki jakąś kielbasę, bo

przecież nie było ^{czas abstrakcyjnie wykupę} kiedy ~~kunować~~, ^{z mam i tacie!} za późno. Dała mi co miała w lodówce. Ja powiedziałam ^{co} cukier, herbatę, kawę ^{co} ~~wszystko to~~ miałam załadowane w teczce i wiedziałam, że prosto z rozprawy do samochodziku i ~~Poron~~ ^{od} nowd. Przyjeżdżamy, mama z tą teczką, już ty nie dźwigaj, ~~w~~ ^{na}schodzimy na górę, jest pan mecenas w bardzo biednej ~~todze~~, ^{nie} ~~teczuchną~~ ^{nie} jakąś taką. Nawet ręki nie podał. Do mamy powiedział: + "Pani pójdzie, usiedzie sobie ~~tam~~ w kawiarni i będzie tak długo czekać, aż wyjdziemy. Możliwe, że sam wyjdę, ale będę się starał, żeby miała pani widzenie z córką. Przypuszczam, że sąd pójdzie na rękę."

Tak cholernie przykro mi się zrobiło) ^{gdz} ~~i~~ ~~jak~~ zobaczyłam, że mama się nie obraża, że ma iść do kawiarni, ² ¹ to ~~widziałam~~, że jest ~~już~~ cała spięta i znowu mnie widzi w więzieniu. I ja też zobaczyłam, jak otwierają się bramy więzienne i wszystkie dziewczęta wywieszają... nie wiem ^w ^{nie} ^{ma} ~~jaki~~ ~~kolory~~ ~~coś~~ ~~tam~~ na pewno wywieszają, bo już ~~ona~~ wiedziały, że ja wracam. Czy wrócę do tej samej celi? Jak będę dalej żyła? Już zaczął się przyzwyczajać do wolności, a tu ^{ekla} ^{mnie} znowu rygor więzienny. I co będzie dalej? Jak jeszcze długo będę musiała siedzieć? To wszystko latało mi po głowie.

Trzyszała pani sekretarka i poprosiła na salę rozpraw. Oczywiście przy drzwiach zamkniętych. Obrońca siedział ^{ja} osobno, na krzesełku, zwyczajnym, normalnym na środku sali. Nie było to przyjemne. Dwóch sędziów, dwóch prokuratorów i czterech ławników - ^{sęd} ~~(w~~ poszerzonym składzie. To byli Polacy, sędziowie pułkownicy, no i Chomętowski cały czerwony i zacieraający łapy, dosłownie zacierał łapy i pomrukiwał z zadowolenia. A mój adwokat z beznamiętną miną siedział na swojej ławce obrońców.

Zaczął pan pułkownik Chomętowski: - "Oto ta osoba, która tu

siedzi, ~~dopuszcza~~, nie czując się absolutnie winną, a powinna być pokorna, dopuściła, że biuro penitencjarne wystąpiło o warunkowe ^{jej} zwolnienie. Wnie przy tym nie było, miałem ~~tak~~ wysoka temperaturę ⁱ że mimo najszczerzych chęci nie mogłem się stawić. Od razu bym wyjaśnił sprawę, że do końca ~~karę~~ ^{kurs,} trzeba odbyć. Owszem, nie powiem, tu jest opinia z więzienia, że się zachowywała... Noo, ale jak ktoś jest bohaterem narodowym, to musi być też bohaterem więziennym. Proszę wysokiego sądu, czy my sobie zdajemy sprawę, kto tu siedzi? Niebezpieczna osoba. Kobieta. Bardzo niebezpieczna. Godzi we władzę ludową." I zaczęło się. Jak zaczął pyskować, to się oglądałam, o kim on ~~w ogóle~~ mówi! Gdzie on się zagalopował? Spójrzałam na mojego adwokata, cała przerażona... społ! Dosłownie głowę miał opartą o rękę i spał. Tylko tyle, że przed zaśnięciem zdołał wyciągnąć jakieś swoje księgi-biblie, ^z pozakładanym ^{stronum} wydawało mi się, że Chomętowski ² ³ ⁴ cały dzień już gada. Wystraszyłam się nie na żarty, gdy powiedział: - "Oskarżona nie ma broni proszę wysokiego sądu /w sensie pistolety, karabiny/, ale ma groźniejszą broń, proszę spojrzeć na twarz. Ironia, kpiny, i tylko kombinacja: kiedy się dostanę do konspiracji. Przecież ma to wypisane na twarzy! Przecież więzienie jej w ogóle ^{jej} nie naprawiło. Nie wiem, czy tam w więzieniu ^{nie było} (jakiejś konspiracji ~~nie było!~~ My do tego dojdziemy. Dojdziemy. Mamy sposoby! Będzie sama mówiła! Nie będzie tak proszę oskarżonej, jak w czasie śledztwa: - nie wiem, dowody -. My znajdziemy dowody. Mamy lata przed sobą. Lata. Nie rok. ^{Myżere} Przyjrzymy się jeszcze uzasadnieniu, wszystkiemu się przyjrzymy. Może będzie jeszcze jedna rozprawa. My potrafiny. Pewne rzeczy może już się odnalazły, do których oskarżona nie chciała się przyznać."

Ronieważ Pułkownik Chomętowski bardzo kwieciście mówił ~~i~~ pięknym językiem polskim, Drugi prokurator nie chciał być gor-

szy. Ten jak zaczął sadzić, to w ogóle odlatywał od tematu!
Była ² prawie w Związku Radzieckim i na tamym terenie działa-
ła. ¹ Zaczęłam już w szkole radzieckiej. Już samo stwierdzenie,
okupacja radziecka o tym świadczy! - "Już jako dziecko cho-
dzące do szkoły coś kombinowała. Z jakiej rodziny oskarżona po-
chodzi. To jest rodzina rozbita. Przecież jeździła z Francji
do Polski i z Polski do Francji. A może coś w tym zeszytiku
szkolnym było?" I tak dalej.

Zimno i gorąco mi się robiło. Myślałam, Boże, kiedy ta męka
się skończy. Przecież to gorsze niż pierwsza rozprawa. Przesłu-
chaniawydają mi się niczym w porównaniu z tym, jak mogą psychicz-
nie, moralnie człowieka zgnoić. Sama siebie nie poznawałam,
Ja w pewnym momencie zaczęłam wierzyć w to co mówili! Myśle:
- "Nam już wyrok. I strach, że może jeszcze coś wykombinują,
że coś wyłowią i zespół sędziowski powie: ~~Na~~ no zrobimy
jeszcze jedną rozprawę! Powołamy nowych świadków." U nich
wszystko jest możliwe. Skończyli! Na szczęście ławnicy nie mieli
nic do powiedzenia, żadnych pytań. A adwokat cały czas spał.

Potem obrona miała głos. Adwokat wstał, chrząknął kilka ra-
zy, powolutku potwierkał swoje księgi. Wszyscy w ciszy czekali.
I adwokat zaczął od Rzymu. Co to jest więzienie, kiedy wię-
zienia powstały, kto je założył i dlaczego. I dla kogo. Zaczął
długo wyłuszczać, wszystko ^{kommentuje} ~~opierając~~ cytata-
mi z tych swoich
mądrych ksiąg. Było to coś tak nudnego i beznadziejnego, że
uśpiło jednego z ławników. Sędzia dyskretnie zaczął zakrywać
ręką twarz - na pewno ziewał. Widzę na całej sali tak potworne
znużenie... A ten, żeby jeszcze ciekawym głosem mówił, ale nie
- monotonnie z długimi przerwami... Myślę sobie, nie wytrzymam.

A on dopiero trzecią księgę zaczął wertować. Chomętowski
nerwowo nie wytrzymał. - "Bardzo przepraszam, proszę wysokiego

sądu, proszę zwrócić uwagę obrońcy, żeby się skracał. Przecież nie na temat mówi." A przewodniczący: - "Obrona ma prawo tak długo mówić jak chce i na taki temat, ~~na~~ jaki uważa za stosowny. A my się do tego ustosunkujemy." Prokurator się trochę uspokoił ^{gdzie} padło zdanie - my się ustosunkujemy.

Na samym końcu adwokat powiedział jedno tylko zdanie dotyczące ^{spawu} mnie. - "Podsumowując wywody obrony, stwierdzam jedną rzecz - w Polsce sądy są niezawisłe, a oskarżonej na prawdę nie obchodzi antagonizm między Warszawą a Bydgoszczą, między sądem pomorskim, a sądem warszawskim. Możecie się panowie k ze sobą kaćcić, wymieniać zdania, ale poza plecami oskarżonej, ponieważ ^{ja} to naprawdę nie obchodzi. Dziękuję."

No a oskarżona - "Dziękuję, nie mam nic do powiedzenia."

Adwokat odpowiednio na mnie spojrział, więc się zamknął. Jezu, żeby wyjść z tej sali, ^{nie} papierosa. I właśnie wtedy ^{ostentacyjnie} była przerwa.

Weszliśmy do przyległego pokoju. Adwokat chodził przy jednej ścianie, ja przy drugiej. Adwokat palił swoje papierosy, ja swoje i ~~w ogóle się~~ ^{nie do siebie} nie odzywaliśmy. Przerwa trwała mniej więcej tyle, ile trwało wypalenie papierosa. Mnie się wydawało, ^{to} że już mnie nie zawołają, tylko ciach i do więzienia. Weszliśmy na salę rozpraw. - "Proszę wstać, Sąd idzie." Twarze beznamiętne, nic nie można ^{mi nie wstąpi} odczytać. U Chomętowskiego czerwone plamy na pysku, myślę sobie; aha, już się cieszy, już zaciera ręce.

Odczytanie wyroku: "Na mocy paragrafu tego i ^{czego} ~~tego~~ utrzymujemy w mocy dalsze zwolnienie warunkowe." Ludzie kochani, wszyscy do mnie podbiegli, wszyscy gratulowali, ^z adwokat mnie ~~na~~ ręce wziął! Tak się cieszył! Sędzia mi gratulował, nawet Cho-

mętowski powiedział: - "Pani Nino, tak cię świetnie skończyło, ^{vis} bardzo się cieszę." Pomyślałam, ty fałszywczej, ale już nic nie powiedziałam. Adwokat krzyknął: - "Nie mów nic!" - bo już widział, że mam coś na języku. ^d Ożyłam...! Po prostu wydawało mi się, że jestem w niebie. Takiego uczucia w życiu nie miałam i chyba mieć nie będę. Adwokat zrobił się, zupełnie inny, sympatyczny. Poproszono go do generała. Przyleciał z rozwianą togą, znowu zaczął mnie ścisnąć. - "Pani Nino, zaproponowali mi stanowisko obrońcy wojskowego tu, w generalnej prokuraturze. Czy pani wie, co to stanowisko dla mnie znaczy, szarego przeciętnego obrońcy? Który nie miał w Warszawie żadnych możliwości wypłynięcia. ^z To dzięki pani, ja pani tego nigdy nie zapomnę." - "To ja panu nigdy nie zapomnę, że pan mnie tak ładnie wybronił." - "Przecież ja pani w ogóle nie wybroniłem. Oczywiście za rozprawę pani nic nie płaci. Taka była między nami umowa."

Przy obiedzie opowiedział, jak ^{Sis przygotowywał do sprawy} to było: - "Nie miałem czasu zapoznać się z pani aktami, była przecież tylko noc. Postanowiłem więc zagrać na psychice sędziów. Co może wyprowadzić z równowagi? Głędzenie obrony. A obronie wolno mówić i mówić. Dwie trzy godziny mogłem mówić śmiało, więc wziąłem wszystkie księgi ^{en} jakie miałem o więziennictwie, pół nocy wybierałem fragmenty, może dwie godziny spałem. Dlatego, gdy ci panowie się wydziczali, wiedząc, że na ^{Pym} ten temat nie mogę nic powiedzieć, uskuteczniłem sobie lekką drzemkę. Przecież wiedziałem, o czym panowie wojskowi mogą mówić. Potem kiedy zobaczyłem, ^{już} że wszyscy są tak potwornie znudzeni, ^{moja mowa} zacząłem celowo przedłużać. Przecież ja tylko jedno zdanie w pani obronie ^{powiedziałem}, a reszta to były bzdury. Pan Chomętowski miał rację mówiąc, że mówię nie na temat. Jego też znożyłem."

W ten sposób zostało usankcjonowane moje zwolnienie przede

terminu
The end

terminowe. Ale to dużo kosztowało zdrowia. Zresztą potem odbiło się to na moich nerwach. Dostałam padaczki, leczyłam się trzy miesiące, nie mogłam pracować, nie mogłam korespondować z Francją. Kiedy jako tako przyszłam do siebie, dostałam wezwanie ze Szczecina, ze szczecińskiego UB: - "W celu załatwienia spraw formalnych." Panowie byli super uprzejmi, gratulowali mi. Ale padło pytanie, gdzie chcę pracować. Czy w Szczecinie, czy w Poznaniu. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że chciałabym w Poznaniu, żeby mieszkać z mamą. - "Ale wie pani, zawsze przyjemniej mieć własne mieszkanie lub chociaż własny kąt. Nie będzie też pani łatwo załatwić pracę, bo to watunkowe zwolnienie i sprawa tego rodzaju że... Pani zresztą dobrze wie jaka, nie każdy jest chętny przyjąć taką osobę. A le wie pani, my mamy dojścia również w Poznaniu i możemy pani ułatwić. Nie przyrzekamy pani mieszkania, bo sama pani rozumie, dzisiaj te dwa, trzy lata trzeba na mieszkanie poczekać, ale pracę możemy znaleźć. Dla pani łatwo będzie znaleźć pracę. A jak my polecimy, to zawsze przyjma. Pani zna dobrze niemiecki?" - "Tak". - "I rosyjski?" - "Też. I francuski." - "A co by pani powiedziała, na krótki odpoczynek? Wiem, że pani nie ma pieniędzy, ale to się da jakoś załatwić. Mogłaby pani jeszcze przed objęciem pracy pojechać do ojca, pobyc u niego." I ja idiotka spontanicznie mówię tak, Ale zaraz sobie pomyślałam - co?! To mnie zastanowiło. - "Proszę pani, my tacy zli nie jesteśmy. Już to, że panią zwolnili warunkowo, świadczy o pani zachowaniu w więzieniu. Wic pani, człowiek bardzo często błędzi, ale błędzi po to, żeby się poprawić. A zawsze jest okazja do poprawy. I tu otworem wszystko przed panią stoi. Tylko sięgnąć ręką i powiedzieć - tak, a wszystko się ułoży." Sobie myślę, ooc! Mówię: - "Tak?" - "A tak. No pani Nino, jak dogadamy się?" - "Za ile?" - "To jest zawsze

do ustalenia. Trzeba kupić mebelki do przyszłego mieszkania, nie są takie tanie, no i co, w dwóch sukieneczkach? Trochę mało. Jest pani kobietą. Kiedy jak kiedy, teraz się ubrać! W więzieniu się stale w szaraku chodziło, a teraz należałoby się jakaś kolorowa sukienka, jedna druga, jakiś płaszczyk, co ja pani zresztą będę mówił, kobiecie, sama pani wie." - "Proszę pana. Za tą propozycją bardzo dziękuję. Nigdy z niej nie skorzystam. Czy pan myśli, że lata pracy w konspiracji, za to przecież siedziałam, i lata spędzone w więzieniu dzisiaj mają pójść w błoto? Czy pan myśli, że śmierć, morderstwo!... - "Niech się pani liczy ze słowami!" - "morderstwo!... - "Chce pani być znowu oskarżona?" - "Jeszcze raz powtarzam, morderstwo moich kolegów ma przejść ot tak?! Za głupie ciuchy? Za głupią pracę? Głupie mieszkanie? Wie pan co? Ja panu coś..." - "Pani by mi najchętniej plunęła w twarz!" - "To pan powiedział. Coś powiem, panu powiem. Gdybym się zgodziła, teraz niech pan mi patrzy prosto w oczy, co by pan o mnie pomyślał? Tam, w środku. Bo na wierzchu - ale ją zrobimy! Co by pan pomyślał o mnie? Że jestem zwykłą normalną szmatą." - "To pani uważa nas za szmaty? - "To znowu pan powiedział. Na współpracę nie pójdę nigdy!" - "A kto pani proponował współpracę?" - "Taką idiotkę nie jestem. Jeżeli się coś bierze, to trzeba płacić. Płacić!" - "No to muszę pani powiedzieć, że życia pani mieć nie będzie. I z pracą nie będzie tak łatwo." - "A co pan myśli, że ja mam wygórowane ambicje, ministrem być? Pracę fizyczną ja wszędzie znajdę. Nie złamaliście mnie w czasie śledztwa..." - "Nie ja panią przesłuchiwałem!" - "Nie złamaliście mnie w czasie śledztwa, nie złamaliście mnie w więzieniu i nie zlamiecie mnie po więzieniu.. Nigdy! Posadzę sobie ziemniaki na kawałeczku ziemi i nie zdechnę z głodu." - "Zobaczymy, jak przyjdzie do pracy fizycznej tak rączki zagiąć."

- "Ja się nie boję pracy fizycznej. Ja się boję ludzi fałszywych."
- "No zobaczymy!"

Faktycznie. Poszedł za mną liścik. Nie wolno mi było pracować jeszcze przez pół roku. Potem zgłosiłam się od razu do naczelnika urzędu zatrudnienia, Pan utykał na nogę. Powiedziałam mu, że siedziałam w więzieniu, oskarżona politycznie, że jestem zwolniona warunkowo i szukam pracy. Obojętne jakiej. A pan do mnie tak: - "Oriszę panią, jestem członkiem partii, jestem komunistą, pomogę pani. Ponieważ pani w ten sposób broni swoich poglądów. Znajdę dobrą pracę."

Znalazł wolne miejsce maszynistki w spółdzielni mieszkaniowej. Irzewidywał trudności, więc wysłał ze mną inspektora pracy. - "A niech Pan Bóg broni, żeby pani nie przyjęli, wtedy ja pójdę." Poszliśmy do Zarządu. Oczywiście prezes: - "Mowy nie ma! Nie możemy przyjąć takiej osoby." A na to ten inspektor zupełnie spokojnie: - "No, no kwalifikacje panu nie odpowiadają? Przecież ma większe niż potrzeba. Było u nas zgłoszenie, jest osoba z kwalifikacjami, jeżeli pan jej nie zatrudni, to zapłaci pan karę." On się musi naradzić z zarządem.

Na zebraniu zarządu przy mnie zastanawiali się, co ze mną zrobić. Nie przyjąć, kara, przyjąć - niebezpieczeństwo. Na to pani, pierwszy sekretarz POP, pani Stefania Górnecka, powiedziała: - "Jak się panowie tak boicie, trzęsiecie, to ja tą panią wezmę do siebie na referentkę." Wtedy pan prezes odetchnął, bo partia mnie wzięła w swoje objęcia i odpowiada. I w ten sposób zostałam przyjęta do spółdzielni.

Z mieszkaniem też miałam kłopoty. Tam w Strzeszynie było to mieszkanie służbowe męża mojej matki, który był dyrektorem instytutu w Strzeszynie. Wiedziałam, że w instytucie patrzą nieprzychylnym okiem na to, że tam mieszkam. Musiałam coś sobie znaleźć. Było to bardzo trudne. Nie miałam pieniędzy. Ale nie tylko to. Po roku pracy poprosiłam o przyjęcie mnie na członka spółdzielni. Prezes odmówił, twierdził, że członkiem nie może być były więzień. Pomógł mi radca prawny, który powiedział prezesowi, że za takie stwierdzenie mam prawo go zaskarżyć przed sądem. Prezes się wystraszył i mnie przyjął. Ale musiałam czekać na przydział. Po jakimś czasie nie miałam się już zupełnie gdzie podziać. Zaczęłam się starać choćby o pokój zastępczy. Chodziłam do wszystkich świętych. Wszędzie odmowa. Jeden z nich, naczelnik Dzielnicowej Rady Narodowej Grunwald, spółdzielnia była na terenie Grunwaldu, powiedział, że prędzej mu kaktus na dłoni wyrosnie, niż ja dostanę mieszkanie, on wszystko będzie robił, żebym nie dostała. Że w ogóle mam wyjechać z Poznania, bo ze mną nigdy nic nie wiadomo, co mi strzeli do głowy. W końcu jakoś załatwiłam - dostałam się podstępem do gmachu KC, do wydziału spraw lokalowych i załatwiłam. Pomogła mi towarzyszka Finderowa, opiekun spółdzielczości mieszkaniowej.

Nagrata i opracowała
Barbara Fabiańska
wiosna - jesień 1989

POSTANOWIENIE

Poradca, dnia 20.10. 1961 r.

Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy – w składzie:

sędzia (asesor) mjr. mgr. Mirek Wojnar

w obecności prokuratora wojskowego

mjr. mgr. Edward Sampa

przedstawiciela administracji więzienia

mgr. Stanisław Juszczak

obrońcy:

skazanego

Janiny Stefani Rudelewicz

protokółanta

por. Mieczysław Tomaszewski

po rozpoznaniu na posiedzeniu niejawnym wniosku

ada. Jana Ciolucha

z dnia 14.09. 1961 r. o warunkowe zwolnienie

Janiny Stefani Rudelewicz

skazanego wyrokiem Sądu Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy

z dnia 17.III. 1958 znak akt So 89/58

z dnia 17.III. 1958 znak akt So 89/58 za przestępstwo z art. 6-1-7-1953 na karę (łącznie) 6/część/ lat więzienia z utratą praw na okres dwóch lat i

i po zapoznaniu się z treścią akt sprawy, opinią zakładu karnego, wysłuchaniu przedstawiciela administracji właściwego więzienia, oraz wniosku prokuratora – na podstawie art. 3 § 1, 2 i 12 Ustawy z dnia 29.5.1957 r. (Dz. U. Nr 31 poz. 134) o warunkowym zwolnieniu osób odbywających karę pozbawienia wolności, oraz art. 4 § 1 – 4, 8 § 1, 2 Ustawy z dnia 17.02.1960 r. (Dz. U. Nr 11 poz. 69) o zmianie niektórych przepisów ustawy o warunkowym zwolnieniu

postanowił:

1. skaz. Janinę Stefanię Rudelewicz warunkowo zwolnić z odbycia pozostałej kary pozbawienia wolności. z dniem 20.10.1961 roku

2. Okres próby wyznaczyć na czas (do dnia) ~~XXXX~~ pozostały do odbycia kary tj. do dnia 6.09.1963.

3. Oddać warunkowo zwolnionego pod nadzór

(oraz nałożyć na niego obowiązek)

4. Uzależnić warunkowe zwolnienie skazanego od udzielenia poręczenia przez do dnia pod rygorem odwołania warunkowego zwolnienia.

Uzasadnienie

Skazana Janina Stefania Rudelewicz przebywa w więzieniu od dnia

6.09.1957 r. Podczas odbywania kary w więzieniu jak wynika to z

złedz wi z innych skazana okazała się wznikliwą wysocę zdysocjinalną

4.09.1958 r. wywołującą się z

określone odbyło już przesłuchanie
jak w sentencji.-

3 orzeczonej już

224

SEDZIA SĄDU
Pomorskiego Okręgu Wojskowego

mgr. *[Signature]* Trojnar

Postępowanie niniejsze jest prowadzone i zakończono w dniu 10 października 1911 roku.-

SEDZIA SĄDU
Pomorskiego Okręgu Wojskowego

mgr. *[Signature]* Trojnar

Z A S W I D C Z E N I E

Stwierdza się, że Ob. Pudelewicz Janina c. Mariana urodzona dnia 3.9.1925r. podczas odbywania kary pozbawienia wolności była zatrudniona w Przedsiębiorstwie Konfekcji Odzieżowej Nr 5. w Fordonie w charakterze tabelowej od dnia 11.4.1958 r. do dn 19.X.1961r.

Ostatnio pracowała na stanowisku tabelowej.

Zaswiadczenie wydaje się na prośbę w/w.

Naczelnik Więzienia
w Fordonie

Zdjęcia - Janina Ostrowska

1. Obradek - pamiątka Janiny Ostrowskiej z przysięgi uprawniającej do działania w konspiracji w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie
2. Janina Ostrowska z czasu okupacji radzieckiej. - Kartki na warkoczach są czarne - dziewczynki we Lwowie nosiły je powszechnie w znak żałoby.
3. Profesor Czesław Kanafojski w Akademii Rolniczej w Dublanach k. Lwowa w czasie okupacji radzieckiej
4. Janina Ostrowska (pierwsza z prawej) we Francji w 1957r. Po tej podróży została aresztowana w PRL.
5. Teatr wędmiarek z Fordonu w 1958r, prowadzony przez Janinę Ostrowską
6. Podpisy pod zdjęciem teatru wędmiarek z Fordonu











Ja na puslyni
30.4.58 Frolinskiy

P. 1.58

P. 1.58

P. 1.58

me.

Blauy
vscue.

16.09.59. Pordoukiy

Mayla